

W DRODZE

PISMO POLITYCZNE I LITERACKIE

Nr. 3 (65)

Jerozolima, dnia 31 marca 1946 r.

Rok IV

TERESA ŻUKOWSKA

ZE WSPOMNIENIÓW O SIENKIEWICZU

Autorka niniejszych wspomnień o H. Sienkiewiczu i St. Witkiewiczu jest wnuczką siostry Witkiewicza. Niewątpliwie wspomnienia odtwarzane na podstawie ustnej tradycji rodzinnej mogą posiadać, mimo dosko- nalej pamięci autorki, luki i nieścisłości. Są jednak tak charakterystyczne, tak żywo malują obraz wielkiego pisarza, że zasłuży- wały na podzielenie się nimi z ogółem.

PEWNEGO dnia roku 189.... do Klubu Ziem- miańskiego w Kijowie wpadł jeden z je- go członków z okrzykiem: — „Panowie! Stało się nieszcześnie!” W rękę trzymał nu- mer dziennika, który tego dnia, w odcinku powieściowym, donosił o śmierci Longinusa Podbięty.

Śmierć Podbięty, jak zresztą losy każ- dego z bohaterów „Ogniem i Mieczem”, była ważnym wydarzeniem dla zapalonych czytel- ników, czekających codziennie na nowy odcin- ek pierwszej części „Trylogii”.

Sienkiewicz oddawał manuskrypt do re- dakcji urywkami. Zdarzało się więc, że nie- którzy z prenumeratorów wyczekiwalii pod drzwiami drukarni na pierwszą odtbitkę ko- rektorską, kiedyś zaś niecierpliwą czytelnik „Trylogii”, by wcześniej dowiedzieć się losów Heleny i Skrzetuskiego, na ulicy wyrwał ko- lejną kartkę rękopisu z rąk chłopca, który zwykłe o 10-ej przynosił z warszawskiego mieszkania Sienkiewicza dalszy ciąg powieści.

Jaki był stosunek Sienkiewicza do jego własnych bohaterów, tak popularnych w pol- skim społeczeństwie? Mało o tym wiemy. Sien- kiewicz nie pozostawił po sobie autobiografii i nie miał zwyczaju mówić o swej twórczości w szerszym gronie świadków — czasami tyl- ko z najbliższymi mu ludźmi rozmawiał o książkach, które napisał.

Jednym z takich ludzi, a może nawet i jednym z najbliższych przyjaciół pana Hen- ryka, był Stanisław Witkiewicz. Jego wspom- nienia o Sienkiewiczu, wspomnienia nie spi- sane wprawdzie, ale zachowane dość wiernie w rodzinnej tradycji Witkiewiczów, rzucają nieraz interesujące światło na stosunek Sien- kiewicza do własnej pracy literackiej. Oczywiście, jak każda relacja ustna, mogą być jedynie fragmentaryczne i dotyczyć tylko niektórych utworów. Tym niemniej myślę, że warto je zanotować.

Aby zrozumieć, czemu w stosunku do Witkiewicza potrafił Sienkiewicz być bardziej może szczerzy, niż wobec innych przyjaciół, trzeba przypomnieć, jakiego typu człowiekiem był ów odnowiciel, czy raczej twórca, stylu zakopiańskiego. Zewnętrzne zresztą cechy Witkiewicza Sienkiewicz nadał malarzowi — dziwakowi, którego uczynił bohaterem noweli „Ta trzecia”.

Są ludzie, z którymi zetknięcie się pobu- dza myśl twórczą, którzy niemal w przelotnej rozmowie potrafili rzucić nowe ujęcie niejed- nego tematu. Ich umysł jest jakby promienio- twórczym pierwiastkiem, pobudzającym do życia nie-radioaktywną materię. Taka właśnie była umysłowość Witkiewicza. Ów w jednej osobie — malarz, architekt, krytyk, literat i filozof — mógł sam tworzyć, ale i pobudzać zdolności twórcze u innych ludzi. Witkiewicz nie wahał się przed obalaniem utartych po-jęć, przyjętych zasad, przed dotknięciem naj- bardziej szacownego komunatu swą ostrą myślą krytyczną, wspartą rozległą wiedzą i nieprzeciętną pamięcią. Może też właśnie dla- tego tak chętnie obcował z nim Sienkiewicz, często analizując wespół z Witkiewiczem te u- stępy swych utworów, w których dotykał roz- ległych i skomplikowanych problemów. A więc i rozmyślania przedśmiertne Janusza Radzi- wiżka, i rozmowa Jeremiego z Bogiem, dyskusja św. Pawła z Petroniuszem, samobójstwo Pło- szowskiego i wiele innych scen bywało tematem tych dyskusji, w których Sienkiewicz zastana- wiał się ze swym przyjacielem nie tylko nad stroną literacką, ale także psychologiczną i filozoficzną swego dzieła.

Przed Witkiewiczem wielki pisarz przy- znawał się do tego, co uważał za niedociągnię- cia w swej pracy. Przed nim też tylko — co już było bardzo rzadkie — czasem siebie po- chwalał.

Wiele listów Sienkiewicza do przyjaciela przechowywała aż do wybuchu wojny Maria Witkiewiczówna, jedna z sióstr Stanisława. Wśród nich znajdował się też i list będący od- powiedzią na wiadomość o zaciągnięciu się

Witkiewicza w szeregi Pierwszej Kadrowej. Zaciągnięciu oczywiście teoretycznym. Na pa- rę miesięcy przed śmiercią — Witkiewicz miał gruźlicę — nastąpiła w jego zdrowiu nagła pozorna poprawa, tak częsty zresztą przy tej chorobie objaw zbliżającego się końca. Pod- niesiony na duchu przypłyłem sił fizycznych, zwraca się Witkiewicz do swego drugiego najbliższego przyjaciela, Józefa Piłsudskiego, z prośbą o przydział żołnierski. Piłsudski, rzecz jasna, nie odmówił tej pociechy choremu ko- ledze, a Sienkiewicz w serdecznych słowach dodawał mu otuchy, żartując na temat „starej gwardii”, która dopiero teraz „pokaże co po- trafi”. List ten jest tym ciekawszy, że Sien- kiewicz wyraża w nim swój stosunek do Le- gionów tymi mniej więcej — o ile potrafię dziś powtórzyć z pamięci — słowy: „Chciał- bym napisać „Zwycięskie Legiony”, może no- wą „Trylogię”... Nie zdążę”. Wielki pisarz is- totnie umiera wkrótce po swym przyjacio- lu.

Henryka Sienkiewicza nazywa się czio- wiekiem Zachodu, twórczość jego — przy ca- ży jej polskim kolorycie — zachodnio-euro- pejską. Problemy poruszane w jego dziełach znajdują rozwiązanie na podłożu pewnych zasad etycznych, podanych jako wartości trwale i niezmiennie.

Sienkiewicz przy tym wydaje się na ogó- nie wnikać zbyt głęboko w rozważany pro- blem, nie szukać powikłań. Na tym też tle przeciwnicy Sienkiewicza zarzucali mu nieraz płytkość. Aleksander Świętochowski posu- nął się jeszcze dalej: odmawiał po prostu Sien- kiewiczowi inteligencji. Pamiętam, jak opowia- dano jako anegdotę, że kiedyś, gdy obaj pi- sarze znaleźli się przypadkowo obok siebie na jakimś zebraniu, ktoś zwrócił uwagę, że mają ubranie z tego samego materiału. — „To ty- lko mamy podobne” — miał odburknąć Świe- tochowski, odchodząc na bok.

Wytykał zwłaszcza Świętochowski Sien- kiewiczowi błędy historyczne, bohaterów „Try- logii” nazywał „walecznymi durniami”, wy- szedł za naiwność niektórych postaci, mówiąc, że nikt niemal spośród bohaterów „Trylogii” nie robi wrażenia człowieka o głębszym umy-śle, nawet, gdy winno to było wynikać z praw- dy historycznej utworu.

Jak do tak ostrej krytyki odnosił się autor, czy dotykała go boleśnie, czy przecho- dził nad nią do porządku dziennego, czy też widział w niej pewną słuszność?

Ze wspomnień Stanisława Witkiewicza o Sienkiewiczu wynikałoby, że Sienkiewicz dą- żąc do stworzenia wielkiej postaci, a może ściślej — postaci wielkiego Polaka-bohate- ra, odczuwał, że mu — jak się podobno miał kiedyś wyrazić do Witkiewicza — „tchu nie staje”.

Tego samego wyrażenia użył też w liście do przyjaciela, tłumacząc, czemu porzucił za- miar napisania wielkiej epopei o Sukowskim, mimo iż poświęcił już tej postaci znaczne stu- dia, korzystając z nich z pomocy i materia- łów Szymona Aszkenazego. Nie dokończył również rozpoczętego szkicu o Janie Witkie- wiczu*, chociaż postać tego osobliwego Wal- lenroda XX wieku działała na jego wyobraź- nię i długie rozmowy przeprowadzał o niej ze Stanisławem Witkiewiczem.

Witkiewicz natomiast twierdził, że Sien- kiewicz nie doceniał postaci swych bohaterów, że zarówno Skrzetuski, jak Kmicic i Wołody- jowski

*) Jan Witkiewicz, stryjeczny dziad Stanisława Witkiewicza. Za udział w uczniowskiej organiza- cji patriotycznej na żmudzi był w r. 1825 zesłany „w soldaty” pod Orenburg, na 25 lat służby w ar- mii rosyjskiej.

Jego niezwykle zdolności zwróciły uwagę pew- nego rosyjskiego generała. Witkiewicza zwolniono z wojska i jako agent rosyjski został on wysłany do Afganistanu. W r. 1837 Jan Witkiewicz, dzięki swej znajomości stosunków i języków środkowo- azjatyckich, zyskuje poważne stanowisko w Mi- nisterstwie Spraw Zagranicznych i podsyca za- borcze dążenia Rosji na Kaukazie.

Przed wojną krymską rzekomo popełnił samo- bójstwo — w rzeczywistości został zamordowany przez tajną policję rosyjską. Okazało się później, że Witkiewicz, pozornie — patriota rosyjski, praw- sławny, nie, władający już językiem polskim, pozostawał w ścisłym kontakcie z Hotelem Lam- bert i pracował nad zaostreniem stosunków ro- syjsko-angielskich oraz przygotowywał powstanie wśród ludów azjatyckich w momencie wybuchu wojny krymskiej. Dalekim celem tej taktyki mia- ła być wojna europejska z Rosją i odzyskanie nie- poległości przez Polskę.

jowski są jednak ludźmi nieprzeciętnymi. Pan Henryk zawsze protestował, mówiąc, że prze- cież Skrzetuski, pomyślany jako rycerz bez skazy i trwogi, nie udał mu się zupełnie. — „Bo widzisz, Stachu, ten mój Skrzetuski... ja- kiż on nudny, ten mój Skrzetuski... O czym byś z nim rozmawiał? Dowcipu nie zrozumie, o polityce niewielkie ma pojęcie, z wykształce- niem więcej niż ślabo... A Kmicic? Już pomi- jam, że rozumem nie grzeszy, ale poza tym przecież z tym człowiekiem nie sposób wy- trzymać w jednym pokoju. Ten niezwykły ha- łas, jaki wnosi z sobą. Czy doprawdy nie mógł się nauczyć ciszej mówić, będąc na dworze Radziwiżów?”

A Sienkiewicz wyraźnie nie lubił rubasz- ności: — „Prawda, jaki ten Ketting cichy” — mawiał z sympatią. Piękne obyczaje, sub- telność, ciche, powściągliwe zachowanie były zapewne dla Sienkiewicza zewnętrznym zna- mieniem nieprzeciętności człowieka. Azya Tuha-j-bejowicz przesuwają się kocimi ruchami, Ketting bezszelestnie otwiera drzwi, jakże ci- chym melodyjnym głosem mówi Bogusław Radziwiłł, a nawet jakże cichy potrafi być Bohun, gdy mu „serce tuży”. Tymczasem ry- cerstwo polskie XVII wieku, spośród któ- rego Sienkiewicz chciał wybrać i wyrzeźbić swego bohatera, zachowuje się hałaśliwie, mówi głośno, śmieje się rubasznie, trzaska drzwiami i — „nie na to nie mogę, Stachu, poradzić” — pisze autor „Trylogii” w liście do przyjaciela — „takimi właśnie oni byli”.

Jak jednak bardzo lubował się Sienkie- wicz w typie szlachcica owej epoki, dowodzi jego autorska sympatia do Pana Zagłoby, jednej z ulubionych jego postaci. Ale że rów- nocześnie nie uda mu się ukształtować szlach- cica na obraz prawdziwie wybitnej jednostki — nieraz to podkreślał w rozmowach z Wit- kiewiczem. Toteż ludźmi nieprzeciętnymi nazywał dopiero postacie z innej, wyższej warstwy społecznej (księża Jeremi), lub też bohaterów innych swych książek. O dwóch zaś rycerzach, Kettingu i Wołodyjowskim, krytykę giną śmiercią samobójczą, podobnie zresztą jak Petroniusz, jak Płoszowski — miał się wyrazić do Witkiewicza, że „mogli być naprawdę wielcy — gdybym się tego był wcześniej domyślił”.

Stanisław Wojciechowski pisząc w „Dzie- jach Literatury Polskiej” o „Bez Dogmatu”, podkreśla, że Płoszowski jest nieszczęśliw- cem bez woli i wiary.

Czy historia Płoszowskiego istotnie była pomyślana przez autora jako przykład, że człowiek „bez dogmatu” musi zginąć? St. Wit- kiewicz, drukując w „Tyg. Ilustrowanym” krytykę powieści Sienkiewicza, napisał, że jest to książka, którą należy przeczytać parę razy, aby ją należycie ocenić. „Za pierwszym ra- zem treść wydaje się głęboka, przeżycia bo- haterów sięgają skali Hamleta, za drugim — bohater musi wydać się po prostu neu- rastenikiem, a fabuła pływka, za trzecim — znów uderza głębia poruszanych problemów”. Sienkiewicz podobno był nad wyraz rad z recenzji Witkiewicza i po jej przeczytaniu tak miał pisać do przyjaciela (cytuje z pamięci): — „Nie wątpię, że ty zrozumiesz „Bez dogmatu”, w którym chciałem dotknąć dna przeżyć ludzkich. Dlaczego problem własnego „ja”, dlaczego osobiste przeżycia mają być niższej czy gorszej skali od przeżyć większego ludzkiego zespołu? Dlaczego problemy, tzw. ogólne mają być wyższe czy ważniejsze od problemów jednego człowieka? Przyjął się komunat, że samobójstwo jest tchórzstwem. Zdudny, głupi komunat małych ludzi...”

Warto tu podkreślić charakterystyczny rys, że Sienkiewicz gloryfikuje samobójstwo Petroniusza, Wołodyjowskiego i Kettinga, a jakby wynikało ze wspomnień Witkiewicza — również i Płoszowskiego.

Miał zresztą Sienkiewicz mówić, że w „Bez dogmatu” usiłował dotknąć „zakazanych dzie- dzin”, przed którymi raczej się cofał w pozos- tałej twórczości. Ani jeden z manuskryptów nie był ponoć tyle razy przerabiany i nad żad- nym dziełem nie pracował z takim wysiłkiem, jak nad tą powieścią.

„Rodzina Połanieckich” była napisana bezpośrednio po „Bez Dogmatu”. Nieraz po- dejmowano dyskusje, czy jest to satyra na ową epokę, czy też autor przedstawia ludzi w jego pojęciu naprawdę wartościowych.

— „Ach, ten system Połanieckiego — mawiał

W numerze:

David Dallin: Wytrwałość Stalina. — Sta- nislawa Kuszelewska: Wszystko jak u ludzi. Zdzisław Broncel: Raport Warszawy. — Tymon Terlecki: Chór aby odpowiadał. — Janina Pilatowa: Książka o Tobruku. — em.: Klucz leży w Moskwie. — wp.: Prze- gląd polityczny: Dwa razy Missouri. — Z prasy wojskowej. — Przegląd wydawnictw. — Straty kultury polskiej. — Z życia teatru w Kraju. — Od redakcji.

Sienkiewicz do Witkiewicza — naprzód czio- wiek winien załatwić sprawy finansowe, po- tem rodzinne, no i na zakończenie — z Panem Bogiem... służba Boża... Pani Połaniecka przed spoczynem w łóżu małżeńskim pobożnie odma- wia paciorki, no bo i to „służba boża”...

Sienkiewicz z epoki pozytywizmu miał do wiary, do religii stosunek najgłębszego sza- cunku. „Służba Boża”, przedstawiona w „Ro- dzinie Połanieckich”, nie jest przeżyciem, któ- re by pisarz cenil. Gdy wchodzi w grę istot- nie sprawa wiary, Sienkiewicz nie używał pół- środków, czynił „służbę Bożą” — czymś wiel- kim i bezkompromisowym. Taką jest ona w Pani Elizie, czy Hani, czy Aniele, nie mówiąc o Ligii.

O Maryni Połanieckiej powiedział kiedyś do Witkiewicza: „Właściwie to było obrzydli- we z jej strony, że kochając się w Połaniec- kim nie rzuciła mu się po prostu na szyję i czekała dopiero na jakiś autorytet moralny (chodziło o ustny testament Litki).

Na tle takiego stosunku do pani Poła- nieckiej można łatwiej zrozumieć, czemu do ulubionych postaci kobiecych Sienkiewicza należały: Krzysia, Hania i Eunice. I przez swą cichość, którą tak lubił Sienkiewicz, i przez swą kobiecość, i przez brak zakłamania w sprawach uczucia. — „Do nich zaiste można się było zwracać słowami Kettinga: — „Wolę cię, niż królestwo, niż sławę, niż bogactwo...” — pisał w jednym z listów do Witkiewicza.

Podobna szczerłość charakteryzuje i Ba- się, toteż autor darzył ją wielką sympatią, a nawet był o nią w pewien sposób zazdrosny. Był to okres popularności „Pana Wołodyjows- kiego”, kiedy Basia stała się wzorem dla pa- nien, naśladowujących jej sposób bycia.

Witkiewicz opowiadał, że gdy raz z pa- nem Henrykiem odwiedzali pewnych państwa, pani domu zaczęła wołać córkę, która ponoć uganiała się za psami po ogrodzie, przy czym dodała: „Nasza Wandzia to kokoz nie dziew- czyna”. — „No, no, tylko bez udawania Basi” — miał wówczas powiedzieć z wyraźnym nie- zadowoleniem Sienkiewicz. Później zaś odar- zył grubą, zdyszana Wandzię kilku tak ciętymi uwagami, że odechciał się jej za pewne i łażenia po dachu, i lekcji fechtunku, na któ- re pisały się naówczas tłumnie różne pseudo- Basie.

— „Basia jest kapitalna” — lubił mawiać pan Henryk, tłumacząc, że w jej sylwetce nie ma najmniejszego fałszu. — „Ale co ona robi- ła po śmierci Michała?” — zastanawiał się cza- sem. — „Do klasztoru nie poszła, a jej życie bez stancji chreptowskiej...”

Gdy Stachiewicz doniósł Sienkiewiczowi o projekcie zrobienia albumu bohaterów jego powieści, Sienkiewicz zainteresował się ogrom- nie. Sam wybrał model, aby odtworzyć oczy „przy których oczki Anusi Borzobohatej zgasyły jak świeczki przy latarniach”. Była nim siostrzenica Stanisława Witkiewicza, pan- na Ada Jałowicka. Z portretów Heleny, Litki i pani Elizy Sienkiewicz był zadowolony, Ba- się natomiast musiał Stachiewicz przerabiać wielokrotnie i nie zdołał nigdy dogodzić twór- cy „Pana Wołodyjowskiego”.

A co myślał Sienkiewicz o Oleńce? Kie- dys, gdy w rodzinnym gronie Witkiewiczów prowadzono jak zawsze ożywioną dyskusję na temat tej postaci, zarzucając jej zbytnią surowość i brak serca, Sienkiewicz w pewnej chwili rzekł: „Widzicie, z Oleńką to jeszcze było inaczej. Ona w istocie rzeczy zakochała się w Bogusławie, tylko nawet mnie o tym nie powiedziała.”

Sienkiewicz doskonale orientował się w „niespodziankach”, jakie w czasie pisania po- trafią autorowi robić jego bohaterzy i nazy- wał to „kawałami” z ich strony. U Sienkie- wicza, mistrza kompozycji, dotyczyły one zazwyczaj tylko drugorzędnych postaci. Jedną z nich był np. Stanisław Skrzetuski, stryjecz- ny Jana, scharakteryzowany w „Potopie” zaledwie paru pociągająciami pióra.

— „On mi zrobił największy „kawał” — mówił Sienkiewicz. — Czy ty wiesz, Stachu, że to był prawdziwy „gentleman”. I skąd mu się to wzięło? A poza tym to była senatorska glo- wa i wielka inteligencja”.

Kiedy indziej przynął przed Witkiewi- czem, że gdyby przypuszczał, że Wołodyjowski potrafi urosnąć do takich wyzów, jak podczas obłożenia Kamieńca Podolskiego, nigdy by nie nadawał mu z początku rysów postaci humorystycznej.

(Dokończenie na str. 3-iej).

DAVID J. DALLIN

WYTRWAŁOŚĆ STALINA

David J. Dallin jest socjalistycznym publicystą rosyjskim, ogłaszającym swe prace w języku angielskim w Ameryce. Czytelnicy znają już nazwisko Dallina, na którego artykuły o Rosji Sowieckiej otrzymaliśmy autoryzację, z drukowane poprzednio na łamach „W Drodze” pracy: „Czego chce Rosja na Dal. Wschodzie?” (Nr. 16—58).

PEWIEN pomysłowy korespondent zagraniczny wystąpił ostatnio — pisząc w „Saturday Evening Post” — z przyjemnie uspokajającą teorią co do powojennych zamiarów Stalina.

Dyktator sowiecki — tłumaczy korespondent — ma lat z górą 65, jest więc naprawdę starym człowiekiem — i wiele już przeżył w swoim życiu. W tym wieku ludzie nie łatwo decydują się na nowe przygody, na podejmowanie ryzyka i narażanie się na kłopoty. Jest to wiek odpowiedni raczej dla poglądów konserwatywnych. Można się zatem spodziewać, że Stalin ograniczy się do spokojnego korzystania z tego, co osiągnął — że będzie żył i pozwoli żyć innym.

Kiedy czytałem tę piękną bajeczkę, przypomniałem sobie dzień, a właściwie noc, której spotkałem Stalina po raz pierwszy. Przez następne 28 lat przyglądałem się dokładnie jego karierze, ale pierwsze wrażenie jakie wywarł na mnie charakter tego człowieka nie tylko nie zmieniło się w swej istocie, ale pod wieloma względami nawet wzmościło.

Do spotkania doszło w listopadzie podczas burzliwych dni opanowywania władzy przez bolszewików.

Petersburg wrzął z podniecenia. Toczyły się walki między wojskami rządu tymczasowego, czyli tzw. rządu Kiereńskiego, a powstańcami bolszewickimi. Wojna z Niemcami ciągle jeszcze trwała. Jedna dywizja po drugiej opuszczała stronę rządową. W nadziei położenia kresu chaosowi i wzrastającym gwałtom, ugrupowania demokratyczne i socjalistyczne zaproponowały utworzenie lewicowej koalicji rządowej dla objęcia nią również i członków partii Lenina.

Bolszewicy, wietrząc zwycięstwo, nie byli skłonni do przyjęcia tej propozycji, brali jednak udział w pertraktacjach po prostu dla zyskania na czasie. Zdawało się, że Leon Kamieniew, występujący w ich imieniu na konferencji pięciu partii lewicy, jest rzeczywiście zainteresowany w znalezieniu podstawy do kompromisu — niezwłocznie też doniósł o propozycji koalicyjnego porozumienia Centralnemu Komitetowi Partii. Na następnej naradzie, w obecności około dwudziestu mniej lub więcej wybitnych działaczy pięciu partii, została ponowiona propozycja utworzenia rządu koalicyjnego, jeżeli bolszewicy zgodzą się odwołać zbrojne powstanie.

Mężczyzna około trzydziestu pięciu lat, niski, chudy, z czarną czupryną, podniósł się, aby oznajmić odpowiedź partii bolszewickiej. Chociaż wszyscy zebrani stali bardzo blisko ruchu rewolucyjnego, nikt go nie znał. „Kto to taki?” — usłyszałem, jak kilku z nich zapytało szeptem. Ktoś objaśnił: „Przewodniczący powiedział, „Stalin”, czy coś podobnego”. — „Kto?” — „Stalin, wysłannik Lenina”.

Nieznamy był słabym mówcą. Mówiąc po rosyjsku silnie zaciągał z gruzińska. To jednak, co powiedział, było krótkie, jasne i mocne. Istota oświadczenia polegała na tym, że projekt jest do przyjęcia, powstanie jednak nie będzie odwołane... Wywołało to wybuch oburzenia — po cóż ma się toczyć zbrojna walka, skoro porozumienie zostało osiągnięte? Przeciw komu będzie wówczas skierowane powstanie bolszewickie, jeżeli nie przeciwko członkom naszej koalicji? Stalin, niezachwiany, wzruszył ramionami. Usłyszeliśmy jego odpowiedź i mieliśmy do wyboru: wóz albo przewóz...

W tej krótkiej scenie, gdybyśmy to tylko wtedy wiedzieli, można było dopatrzeć się przyszłego Stalina. Zasadnicze rysy jego charakteru wystąpiły w uderzający sposób. Powstanie rozwijało się pomyślnie dla jego partii; stała za nim realna siła; zaledwie paru tygodni było jeszcze potrzeba dla osiągnięcia zwycięstwa. Toteż zadaniem Stalina było wygrać na czasie pod pozorem porozumienia się z innymi partiami; bynajmniej nie krępowała go pozorna nielogiczność jego stanowiska.

To pertraktacje na zwykłej sile, posługiwanie się pertraktacjami jako manewrem, cyniczne traktowanie jutrzyszych śmiertelnych wrogów jako dzisiejszych sprzymierzeńców, bezwzględne dążenie do celu — do rządów jednej partii, zimna pogarda dla skrupułów moralnych i innych ludzi — wszystko to było kwintesencją przyszłego stalinizmu.

Cokolwiek później czytałem czy słyszałem o tym człowieku, nie nie dodało niczego istotnego do pierwszego surowego obrazu tej postaci, jaki się zarysował podczas brzemennych dni rewolucji.

Powstanie, oczywiście, powiodło się. Partia Lenina i Trockiego, w której imieniu Stalin przemawiał (nazwa partii komunistycznej nie była jeszcze wówczas nazwą oficjalną), zagarnęła władzę siłą i położyła w Rosji kres krótkotrwałej próbie wolności politycznej.

Byłem w owym czasie jednym z niewielu ludzi, którym nazwisko Stalina nie było zupełnie obce. Natknąłem się już na nie w dziennikarskim sprawozdaniu z konferencji bolszewickiej z ubiegłego sierpnia, i utknęło mi ono

w pamięci. Stalin, zapamiętałem sobie, był pierwszym wśród działaczy partii, który postawił zdumiewającą i wręcz paradoksalną tezę, że „zacfana Rosja” może się stać pierwszym socjalistycznym państwem na świecie. Ani Lenin, ani Trocki nie sformułowali do owego momentu tak śmiałej koncepcji. Nawet Lenin powtarzał nieustannie przed rewolucją, że Rosja musi przed tym przejść przez stadium burżuazyjnego kapitalizmu.

Podobnie jak wszyscy jego towarzysze, Stalin wierzył w nieunikniony wybuch rewolucji socjalnych w innych państwach. Natomiast wbrew ich większości wierzył również, że ustroj socjalistyczny może być najpierw zrealizowany w Rosji, mimo ekonomicznego i politycznego zacofania tego kraju. Tej myśli pozostał on wierny przez blisko 30 lat; poprzez całą jego karierę polityczną, tak na zewnątrz zmieniając i kontrastując — snuje się ona jak stalowa nić konsekwencji.

Wkrótce po dorwaniu się partii do władzy Stalin znalazł sposobność dania wyrazu swej naczelnej idei o znaczeniu mocnego i ekspansywnego państwa rosyjskiego jako ośrodka oczekiwanego socjalistycznego świata. Program Stanów Zjednoczonych Europy miał wielu zwolenników wśród towarzyszy Lenina. Trocki miał tej myśli pozostać wierny nawet i w późniejszych latach. Była to koncepcja, która przyjmowała Europę jako ośrodek spodziewanego ustroju socjalistycznego. Stalin jednakże odrzucił ją z punktu, otwarcie głosząc myśl państwa rosyjskiego, jako jądra przyszłego wielkiego związku sowieckich republik.

„Hasło Stanów Zjednoczonych Europy zastąpimy hasłem Federacji Sowieckich Republik, krajów postępowych i kolonii, które bądź odpady, bądź odpadną od imperialistycznego systemu gospodarczego”.

I nadal upierał się przy tym poglądzie, powtarzając go przy każdej nadarzającej się sposobności. Stało się to i jego natrętną ideą, i praktycznym celem. Mówiąc o nieudanym rządzie Beli Kuna w Budapeszcie, powiedział w dniu 10 marca 1921 r.:

„Przykład Węgier jest wymownym dowodem, że państwa socjalistyczne nie mogą przetrwać bez oparcia się o Związek Sowieckich Republik, bez stopienia się z nim w jedną wojskową i gospodarczą całość... Federacja Sowieckich Republik jest jedyną formułą”.

Rozrastający się obszar socjalistyczny, mający w ostatecznym rozwoju objąć całą kulę ziemską — oto w co wierzyli wszyscy komuniści. Natomiast wizja Rosji, jako skupiającego ośrodka, do którego inni muszą się dołączać, była wyraźnie myślą Stalina. „Związek Republik” — powiedział w r. 1923 — „jest pierwszym krokiem do stworzenia przyszłej sowieckiej Republiki Pracy o światowym zasięgu”. Wielonarodowościowy Związek Sowiecki ma urosnąć jak śnieżna lawina w państwo światowe, ale jego serce zawsze pozostanie w Rosji — w Moskwie.

Mijały lata. Nieznany rzecznik Lenina z 1917 r. stał się wyłącznym panem Kremla. Hitlerowskie Niemcy rosły w potęgę i wskazywała na nie ostrożność. Tym niemniej prawie w przededniu zarysowującej się wojny, w r. 1936, Stalin nie zawahał się powrócić do swej ulubionej koncepcji. Pełno było w historii państw wielonarodowościowych — pisał w ocenie nowej sowieckiej konstytucji — ale wszystkie zginęły. Przetrwa jedynie państwo sowieckie, ponieważ opiera się na socjalistycznej podstawie: „Państwo międzynarodowe, które powstaje na zasadach socjalistycznych, zdolne jest wytrzymać wszelką próbę”.

W cztery lata później Stalin przystąpił do zastosowania swej zasady państwa wielonarodowościowego przez przyłączenie trzech nowych krajów — Estonii, Łotwy i Litwy. Nikt, choć trochę obeznany z jego stałą wizją, nie może mieć wątpliwości, że Stalin patrzy na państwa europejskie pozostające dziś pod sowiecką hegemonią — na Polskę, Bułgarię, Rumunię, w końcu zaś na Czechosłowację, Węgry i przynajmniej na rosyjską część Niemiec i Austrii — jako na przyszłych członków stalinowskiego Związku Socjalistycznych Sowieckich Republik.

Próba zrozumienia zagadnienia rosyjskiego przez wiązanie go z indywidualnością i charakterem Stalina nie jest najlepszą drogą. Tym niemniej nie powinniśmy pocieszać się uspokajającymi teoriami. Musimy brać Stalina takim, jakim jest — z jego głęboko zakorzenionymi przekonaniami, z jego odwagą, uporem i bezwzględnością. Przewidywanie przyszłości Rosji, opierane na tym, że przeciętny stary człowiek lubi spokój i poobiednią drzemkę, do niczego nas nie doprowadzi.

II

KARIERA Józefa Wissarionowicza Dżugaszwili, znanego w historii pod mianem Stalina, była pasmem wielkich osobistych powodzeń, uwieńczonego zwycięstwem nad niemieckimi najeźdźcami. Olbrzymi światowy prestiż uzyskany przez Rosję jest w istocie prestiżem Stalina. Sukcesy Stalina stanowią dla niego potwierdzenie jego zasadniczych poglądów, zasadniczego programu i nadziei żywionych na przyszłość. Wraz z każdym nowym tryumfem Stalina maleją szanse, by mógł on kiedykolwiek zmienić swą filozofię i swój podstawowy program.

Powierzchni obserwatorzy sowieckiej historii nie chwytają tego, że Stalin, często

zmieniając taktykę — wszyscy dobrze znamy te zdumiewające, dokonywane z dnia na dzień karkozomne zmiany „linii generalnej” — pozostaje jednak wierny swym istotnym celom i koncepcjom. Pomimo wszystkich zewnętrznych manewrów i wybiegów jest ciągle głównym przedstawicielem rewolucyjnej tradycji. Uzgodnił ją ze swym charakterem i własnymi możliwościami. Stalinowski ujęcie procesu przemian społecznych jest tak osobiste, że słowo „stalinizm” oddaje to lepiej niżeli słowo „komunizm”. Ow swoisty komunizm, będąc nawet takim jakim jest, nie jest wyłącznie zewnętrznym pozorem, który Stalin mógłby odrzucić stosownie do swego życzenia. Przeciwnie — idea ta jest krwią z krwi, kością z kości Stalina: nie pragnie on ani od niej odejść, ani nawet byby do tego zdolny.

Sekretem siły Stalina jest ten właśnie nieprzerwalny związek z tradycją rewolucyjną. Daje mu to wiarę w samego siebie i bezwzględność człowieka, mającego pewną misję do spełnienia. Stalin patrzy na siebie jako na „narzędzie historii”. Ludzie wychowani w kręgu stalinizmu wiedzą, że nawet te posunięcia ich wodza, które wydają się sprzeczne z tradycją rewolucji, są tylko ruchami strategicznymi: nigdy kapitulacją, lecz jedynie chwilowym odwrótem. Każdy też odwrót rozumieją oni tylko w tym sensie.

Dlatego też oczekiwanie, że Stalin w jakiś sposób stanie się w dawnym rosyjskim stylu — nowym carem odrodzonego nacjonalistycznego państwa, jest oczekiwaniem niemożliwości. Propagandyści Stalina lansowali to złudne przeświadczenie za granicą w pewnych kołach rosyjskich, ale było to jedynie posunięcie rewolucyjnej strategii. Nie mniej czczy i samowładczy jest pomysł, że Stalin może stać się „demokratą”, wyznawcą czterech wolności i głową zdemokratyzowanego państwa.

Tradycja rewolucyjna, stanowiąc źródło siły Stalina, jest również źródłem poważnych błędów. Dwa błędy, będące rezultatem założeń jego podstawowej wiary politycznej, szczególnie drogo kosztowały Rosję, wywołując zamieszanie wśród wyznawców stalinowskiego systemu.

Było to przede wszystkim hołdowanie komunistycznej doktrynie, że wojna państw kapitalistycznych przekształci się w serię wojen domowych, doprowadzających do powstania nowych państw socjalistycznych, które przyłączą się do ZSSR. Stalin nie tylko przyjął w tej kwestii punkt widzenia Lenina, ale i stale go głosił, nawet w obliczu sprzecznych faktów. Jeszcze w roku 1934, gdy polityka rosyjska przygotowywała sojusz z kapitalistyczną Francją i wejście Sowieców do Ligi Narodów, Stalin oświadczył na zjeździe partyjnym:

„Wojna z całą pewnością rozpęta rewolucję i postawi pod znakiem zapytania samo istnienie kapitalizmu w wielu krajach, tak jak to się działo podczas pierwszej wojny imperialistycznej... Jeżeli kapitaliści wejdą na drogę wojny, klasa pracująca krajów kapitalistycznych... wkroczy na drogę rewolucji”.

Nadzieja okazała się błędna. Ruchy rewolucyjne nie odegrały większej roli w drugiej wojnie światowej. Ale i teraz jeszcze Stalin nie dostosował swoich teorii do rzeczywistości. Doktryna, którą wyznawał, zbyt wrosła w całe jego życie, by mogła ustąpić przed prostą wymową doświadczenia.

Jeszcze groźniejszy, z punktu widzenia korzyści komunizmu, był zawód, jaki sprawiło inne założenie. Mówiło ono bowiem, że w razie ataku na Zw. Sowiecki robotnicy całego świata pociągną na ratunek. W r. 1934 Stalin dał wyraźny obraz przewidywanego przez siebie rozwoju sytuacji w jakiejś przyszłej wojnie przeciw Związkowi Sowieckiemu; twierdził on, że będzie to

„najniebezpieczniejsza wojna dla klas posiadających. Nie tylko dlatego, że narodzi Związeku Sowieckiego będą walczyć na śmierć i życie w obronie zdobyczych rewolucji, lecz również dlatego, że wojna będzie się toczyła jednocześnie i na froncie, i na tyłach wroga. Burżuazja może być pewna, że liczni przyjaciele sowieckiej klasy pracującej w Europie i Azji uderzą na tyły uciskających państw, które rozpoczęły zbrodniczą wojnę przeciw ojczyźnie klasy pracującej wszystkich krajów”.

Gdy Hitler w r. 1941 napadł na Rosję, Stalin naprawdę spodziewał się w Niemczech wielkiego prosowieckiego powstania. W swych pierwszych mowach wojennych stwierdzał, że „Niemcy są wulkanem gotowym do wybuchu”. Zawiodło to przy pierwszej próbie doświadczenia. Pomoc przyszła od... rządów kapitalistycznych. W chwili zaś, gdy było tego najbardziej potrzeba, nie stało ani śladu „solidarności mas pracujących”.

Ale i z tego Stalin nie wyciągnął wyraźnie przecież się nasuwających politycznych wniosków. Unika ich, stara się je obejść. Tego rodzaju upór w trzymaniu się koncepcji, której wydarzenia w sposób wprost drugoczający zadają kłam, jest poza wszelką logiką i może jedynie wypływać z głęboko zakorzenionej wiary. Wkutek swego sposobu myślenia, zeszytniałego w ciągu trzydziestu lat walki i dwudziestu lat dyktatury, Stalin nie jest zdolny do gruntownego zrewidowania swych zastarzałych przekonań. Jako namiastkę nieistniejącej solidarności proletariatu ofiaruje dziś pozorną solidarność rewolucji narzucanych sąsiadom państwom przez zwycięską czerwoną armię.

III

Kontrast między partyjną doktryną a rzeczywistością jest dostatecznie jasny dla tysięcy szczerzych zwolenników Stalina w Rosji. Nie pomniejszajmy ich inteligencji i logiki. Bankructwo wielu starych teorii jest zbyt wyraźne, aby nie chciano się ich pozbyć. Gdyby w dzisiejszej Rosji istniały, choćby w nikłym stopniu, wolność prasy i słowa, z pewnością wyszłyby na wierzch wątpliwości i zamieszanie panujące w komunistycznych szeregach. Tak jak dziś sprawy stoją, kryją się one pod powierzchnią.

W sowieckich kołach komunistycznych rozwinął się podczas wojennych lat próby pewien rodzaj nazistowskiego nacjonalizmu. Robotnicy niemieccy nie spełnili pokładanych w nich nadziei — podobnie i robotnicy rumuńscy, węgierscy i fińscy. Nawet w samym ZSSR Ukraińcy i Białorusini okazali się mniej godni zaufania, niż „prawdziwi” Rosjanie — niż Wielkorusi, których stolicą jest Moskwa i którzy stanowią w Sowietach około 50% ludności. W latach największego niebezpieczeństwa reżim pozwolił całkowicie zaplanować ucuciom nacjonalistycznym i rasowym. Szczególnie w propagandzie szerzonej w wojsku przedstawiano Rosjan jako rasę bohaterów, a Niemców jako rasę gangsterów i idiotów.

W miarę jak zniknęło niebezpieczeństwo i wzrastały szanse zwycięstwa, propaganda odchyłała się coraz bardziej od intensywnego nacjonalizmu. Punkt zwrotny został osiągnięty, kiedy wierny adiutant Stalina, G. Aleksandrow, ogłosił artykuł potępiający skrajne poglądy Ehrenburga i nawracający do stalinowskiej formuły „nie zwalczamy Niemców, ponieważ są Niemcami, ale ponieważ najechali nasz kraj”. Artykuł był drukowany i przedrukowywany w sowieckiej prasie i nadawany przez radio — niewątpliwie oddawał zapamiętanie Kremla.

Najbardziej jednak z tego wszystkiego zwraca uwagę i największą doniosłość dla badaczy spraw rosyjskich posiada fakt, że Ehrenburg, mimo tak surowej przysięgi, może nadal pisać. Normalnie należało by się spodziewać, że przynęta się do błędu i zniknie ze sceny — to, że wyżył, jest wyraźnym ustępstwem dla nacjonalistycznej fali. Oznacza to uznanie przez Stalina, że prąd jest zbyt silny, aby w obecnej chwili można mu było rzucić wyzwanie. Stalin musi utrzymywać równowagę między tym nowym nacjonalizmem a oficjalną tradycją rewolucji światowej. Przyjmując do wiadomości istnienie wspomnianych tendencji nacjonalistycznych i niechętnie zbaczając nieco z drogi, Stalin bynajmniej przed nimi nie kapituluje. Tak długo, jak chodzi o Stalina, można być pewnym, że jest to tylko odchylenie od prawdziwej wiary, które będzie wyprostowane przy pierwszej sposobności, akurat tak samo jak tolerował Stalin inne odchylenia, czekając na odpowiednią chwilę, aby następnie uderzyć w nie z całej siły.

Na razie Stalin zwalcza ów prąd nie atakiem człowieku, ale przez odrywające i coraz głośniejsze podkreślanie „socjalizmu”, jako prawdziwej podstawy sowieckiego zwycięstwa. „Ustrój socjalistyczny dał niezwykłą siłę naszemu narodowi i armii” — stwierdził Stalin 6 listopada 1944 r. Identyfikacja ta sama myśl powraca bez końca w przemówieniach, w artykułach wstępnych, w notatkach dziennikarskich, w radio i na ekranie. „Ustrój socjalistyczny — pisał „Bolszewik” w numerze czerwcowym z 1944 r. — wykazał, że jest najlepszą formą mobilizacji wysiłku narodowego w okresie wojny, potem gdy zda już egzamin w czasie pokoju”.

Podobne cytaty można znaleźć prawie we wszystkich bieżących wydawnictwach sowieckich. Czytając prasę moskiewską jestem pod wrażeniem coraz silniejszego nacisku, jaki się kładzie na ten punkt. Przed dwoma laty zwycięstwa były jeszcze do zawdźwięczenia „Rosji”, dziś zapisuje się je na rachunek „socjalizmu” i sowieckiego stylu życia. W ciągłym podkreśleniu tego czynnika wyczuwa się, że reżim wszedł w pełną poważnych następstw polemikę z obrońcami nacjonalizmu i że stara się stłumić nastawienie patriotyczne.

Za granicą istnieją obserwatorzy, którzy sądzą, że pewnych dowódców wojskowych, jak Żukowa, Malinowskiego, a nawet Woroszyłowa, umyślnie trzyma się z dala od Moskwy, aby prąd nacjonalistyczny pozbawić skutecznego kierownictwa. Obok tego całe setki czysto partyjnych działaczy, poświęcających się raczej sprawom politycznym niż wojskowym, otrzymały wysokie stopnie w armii czerwonej i w marynarce, prawdopodobnie dla zrównoważenia panującego w tych sferach nacjonalizmu.

Gdyby się zdarzyło, że prąd nacjonalistyczny wzrosłby na sile i pokusił się o zagarnięcie władzy, Stalin nie byłby na jego czele. Przeciwnie, tendencja ta szybko znalazłaby się w gwałtownym konflikcie ze Stalinem. Cała jego przeszłość, cała jego umysłowość, czynią dla Stalina rzeczą niemożliwą przekształcenie się w „rosyjskiego imperialistę”, w przedwojennym narodowym znaczeniu tego pojęcia.

Stalin nie widzi swego zadania po prostu w ekspansji i wzmacnianiu Rosji, ale w

(Dokończenie na str. 8-ej)

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

WSZYSTKO JAK U LUDZI

Opowiadanie

SİODMY września 1943 r. w Warszawie. Jest dziewczęta rano. Elżbieta skończyła sprzą-tanie pokoju i zamierza się myć, ale sposób mycia jest tak niewygodny, że przedtem lepiej odpocząć. Córka wyszła na wykład, Elżbieta jest sama. Siada w głębokim, szafirowym fo-telu, puchowym gnieździe z dawnych dobrych czasów, zapala papierosa i patrzy na swoje dzieło. Istotnie, posadzka jak lustro, szyby lśnią pod bielą firanek, zeszepeczonych tylko rulonami czarnego papieru do zaciemniania. Tych kilka pięknych jesionów ocalałych po wrześniu 1939 r., z dawnego, prawdziwego domu, wygląda jednak wcale nieźle, chociaż pokój zamieszkały przez dwie kobiety służy jednocześnie za sypialnię, stołowy, łazienkę i spiżarnię. Za jednym fotelem schowany wore-czek cukru, za drugim woreczek kaszy; za kredensem na gwoździu wisi skarb — kawa-łek słoniny; za szafą ukryta bańka z naftą; słoik powideł stoi w piecu, w którym się jesz-cze nie pali, zapas drzewa stłoczony za pie-cem. Jakoś wszystko niewidoczne; natomiast królują dwa tapczany, półka książek, jesiono- wy stół, na nim pęk słoneczników.

Tylko za sekretarą — psiakrew — umy-walka! Za muzealną, empirową sekretarą ze złotej gruszy i czeczoty, stojącej w napole-ońskie orły z bronzami, w wianuszki i gale-ryjkę. Antyczne cacko stoi figlarnie bokiem, a za nim, niewidzialne dla oczu gości — kul-sy życia: miska na taborecie, wiadro pod, ko-ronkową serwetą, szczotka do zamiatania, śmietniczka, dwa autentyczne pudełka z pastą do podłogi i — to trzecie. W tym trzecim, większym, dwie cenne bransolety po babce, zrzecznie wtopione w pastę.

Nie jedynie to kulisy. W rogu bowiem kredensu stoi niewinny stoiczek ze smalcem, a w nim złota moneta (10 lat więzienia!) na czarnej godzinie. Druga taka sama, w pudrze na toalecie; a w apteczce w proszkach aspi-ryny, jeden opłatek cięższy: to pierścionek, os-tatni ratunek. Wszystko jak u ludzi.

Są też inne „kulisy“. W szufladzie w wydrążonym wałku od ciasta — ostatni, czwartkowy numer „Biuletynu“. A tam, w kącie pod szafą — coś za obrzydliwość w tej ogólnej czystości i ładzie: brudna ścierka, bardzo brudna. Nie ruszać tej ścierki! Boże, daj, żeby nigdy nie ruszyli tej ścierki! Ale oni lubią czystość. Może się będą brzydzili. *Polnische Wirtschaft!* Tak. Inaczej — śmierć. Wszystko jak u ludzi.

Wysoko, wysoko podniesione rolety trzech ogromnych okien. Okna na Pole Mokotowskie, słońce, słońce, zielono, zielono, dawniej lotnis-ko i wyścigi, teraz działki warzywne — działki — działki. Wrzesień, słoneczniki, nagietki, wie-czorami pachnie maciejka, jak na wsi. Obie kochają ten widok, matka i córka, Elżbieta i Ela. Wprost od okna, tylko za jezdnią, bie-gnie wśród działek waziutka oszczędna ścieżyna. Daleka jak myśl. Prosta jak tęsknota. Chwy-ta oczy, ile razy podejdę do okna. Biegnie aż ku Alei Niepodległości. W przyszłość. Codzien-na turystyka oczu.

Wysoko, wysoko podniesione trzy rolety, ale tylko jedna jest ważna. Czy aby nigdy jej nie spuszcza? *Owi*. Czy nigdy nie znajdują? Chryste — bo gdyby: tam w rąbku zwinięty rulonik najcieńszej bibułki. Na nim wypisane najdrobniejszym pismem: pseudonimy, nume-ry, daty, wyszkolenie, przydziały. Jedenaście pozycji, jak kazano. W jednym rąbku ewiden-cja oddziału Eli, w drugim — oddziału Elżbie-ty. Nazwisk nie ma, ale coś to pomoże? Biją mocno. Czy potrafię wytrzymać? — myśli Elżbieta. A ona, córka? Wilcze pazury chwy-tają Elżbietę za gardło, jak co dzień, jak co chwila, kiedy myśli o tej dziewczynie. Szafi-rowe oczy, przepyszne brwi, brązowe loki, jaskrawe ustka, nigdy nie tknięte szminką; mocne, opalone, sportowe ciało.

— Bieć? Jezu...
— No, matka, nie histeryzuj — słyszy co dzień Elżbieta. — Śmieję się z tego, nie masz pojęcia jakie te szkopy głupie. Mówię ci.

A potem: — No, mamusińska, ty jesteś dziecko... — i puszysty łebek ociera się o ra-mię. — A może byś mi tak ukręciła jajko z cukrem? To na pociechę. Jajko z cukrem jest wielkim luksusem i Ela wie, że matka lubi da-wać „dziecku“ luksusy. Dlatego prosi. Widać matka kręci owo jajko z cukrem, ale wie swoje. Wie, że córka całą noc przy świeczce czytała „Kamienie na szaniec“ i że to najgorsze za-częło się właśnie od tej książki. Sama jej dała, bo ładnie napisane. Ma teraz. Dziewczyna znika o niebywałych porach, coś nosi, coś chowa.

— Co ty robisz, kocio? — zapytała kiedyś Elżbieta.

— Nic. Właśnie, że niestety wciąż nic.
— Tv? Ty nie nie robisz? Nie szkolisz swego oddziału? Nie zbierasz zapasów sani-tarnych?

— Ech, to wszystko kłajster. Powinnam pójść do sanitariatu dywersji. I pójść.

Papieros się wypalił, Elżbieta nie zauwa-żyła. Jest spocona od stóp do głów. Czyżby się tak zmęczyła sprzątaniem? No, trudno, nie nie poradzi, trzeba się myć. Wstaje, nalewa wody do miski za sekretarą. Myśli się gonią... Trzeba pójść do meliny, zabrać białoczerwone opaski i przenieść do składu broni. Córce nie nie powie, bo zaraz by poszła razem. Po dro-dze trzeba kupić ciastek. bo dziś dziecka uro-dziny. A o piątę tutaj będzie uroczysta przy-sięga... ileż to osób przyjdzie na przysięgę?... trzynaście. A ile może przyjść gości wieczor-

rem? Szwagier Tadeusz, jego żona, siostra, dwoje dorosłych dzieci; sama rodzina, bo młodzież z medycyny proszona na niedzielę. Więc trzeba kupić siedem ciastek. A może dziesięć?... No, pozwólmy sobie raz na dzie-sięć... Nie, siedem. Zimna ta woda...

Rrrrym... zadrżały szyby. Co za wściekły huk! Bomba? Przecież nie było alarmu. Ręcz-nik, suknia — prędzej. Czy córka doszła na wykład? Nie, jeszcze musi być na ulicy, do-piero wyszła...

Elżbieta wychyla się oknem. Ulicą Polną biegną tłumy. Pewnie coś się stało na Placu Unii. Strzały. Krzyki. Tumult.

— Proszę pani! Jakies nieszczęście. A gdzie nasza panienka? — To służąca gospo-darzy wpadła do pokoju i razem z Elżbietą już wisi w oknie. Przepadła za panienką.

— Nie wiem. Może na wykładzie. Nic nie wiem, Toleciu... nie nie wiem... Kochanie...

Minuty za minutami. Wreszcie znajome stukanie do drzwi. Puk, puk, puk. Jest!! Gos-posia uspokaja się i wraca do kuchni.

— To ty! Chwała Bogu. Co się dzieje?

— Nic. Pewnie zamach. Nie można przejąć przez Marszałkowską, tramwaj się pali koło Litewskiej. Heca.

— Odpocznij.

— Trzeba przeczekać, wykład przepadł. Cho...lender! Jak się tak zaczęło na moje urodziny, to już będzie cały rok.

— Nie pleć.

— Zobaczysz.

(Miała słuszość. Tak było. Było gorzej. A potem — jeszcze gorzej).

— Patrz! — woła Elżbieta od okna. Ela podbiega.

Ulica jest pusta, tylko środkiem jezdni dwóch Niemców prowadzi Polaka. Oni w mun-durach, rewolwery do strzału, on — młodzieńki i wybladły w jasnej kurtce i białej czapinie. Najwyraźniej prowadzą w stronę Alei Szucha, do Gestapo. Nasz! Ziapali. A jego matka jesz-cze nie wie. Będą bić. Zabiją. „Taki sam on czyjś, jak ta tutaj — moja“, czuje Elżbieta. Instynktownie chwytą dziewczynę za rękę. Ale ręka nie pozwala.

— Puść!

I już mała chodzi po pokoju, jak zwierz w klatce. Młody, piękny, brązowy zwierz leśny z płonącymi oczyma.

Czego może najbardziej nienawidzono tam, wtedy, w Warszawie? Tych niemieckich kar-ków z czerwonymi fałdami tuszczu. Ręce same rwały się do cyngla, do noża. Taki właś-nie kark ma ten Niemiec, który pod oknem prowadzi za łokieć bladego chłopca. Pierwsze piętro, widać dobrze.

Potem — potem nie było już nic. Na ulicy uspokoiło się zupełnie. O jedenastej córka wyszła do szpitala, gdzie studenci tajnej me-dycyny mieli pokaz na internie, a matka posła-ła po ciastka urodzinowe i — w tej drugiej sprawie. Z placu Unii skrzyła na Puławską, a potem w Narbutta, gdzie w małym sklepiku sprzedawano najtańsze słodycze. Po drodze dowiedziała się, co zaszło, bo wszyscy tylko o tym mówili: na rogu Marszałkowskiej i Litew-skiej był zamach na gestapowca. Młody, „zeb-rak“ i „grajek“ wyjął broń z pudła skrzy-piec. Gestapowiec szedł sobie idyllicznie, z ro-dzinką na spacer. Padł. Ale inni Niemcy wy-skokczyli z tramwaju na pomoc. Wtedy osłona zamachowca rzuciła kilka granatów. Było trochę rannych. Grajek zdołał uciec. Ale cze-mu prowadzono tego bladego chłopca z innej strony, od Politechniki? I zamachowiec nie wkładałby białej czapki. Omyłka? Czy jakaś inna sprawa?

Elżbieta idzie ulicą Narbutta. Paczka z

ciukierni dynda jej na palcu. Pomimo wszyst-ko — polska jesień — nie ma rady — słońce! Jesiony są złote. Pomimo wszystko, — czyż-by naprawdę! — Elżbieta kocha życie.

— Tadek! A ty tu skąd? Dlaczego nie w biurze?

To szwagier. Ale jak on wygląda. Twarz szara, wzrok dziki, suknia plugawa.

— Co się stało, Tadek?

— Przyszli po mnie. Uciekłem przez kot-łownię. Telefonistka z dożu szepnęła mi w słuchawkę: „uciekać!“.

Elżbieta od razu sztywnieje rzeczowo.

— Idź zaraz do naszego mieszkania, two-je na pewno obstawione, albo zajęte.

— Dzieci! Lusiu...

— Nie poradzisz. Może Bóg da. Idź, nie stercz na ulicy.

— Ale słuchaj — powiada — o dwunastej przyjdzie do biura moja siostra, z bibułą, jak co dzień i wpadnie im w ręce. Na pewno cze-kają. Musisz ją zawrócić.

Patrz na zegarki: dwunasta za dziesięć.

— Już idę. Bądź spokojny. Potem z nią razem przyjdziemy do nas. Tam czekaj.

— Ale czy mnie wpuszczą do twego po-koju?

— Ja uprzedzę. Do widzenia.

Więc Elżbieta nie skręca już do meliny, tylko telefonuje z apteki. „Państwo będą łas-kawi pozwolić poczekać w moim pokoju temu panu, który przyjdzie za chwilę. To nie zło-dziej, to kuzyn, a nawet profesor, doktor, inżynier...“

Trzeba na wesoło, żeby nie zmiarkowali. Na mieście takie podniecenie!

Teraz prędko, przed biuro. Ostatni przy-stanek dziewczątki na Rakowieckiej. Pętla. Elżbieta czeka na przystanku. A może się roz-mineją? Dwunasta. Nie, z tramwaju wysia-da siostra Tadeusza. Gruba starsza pani z gospodarskim koszykiem, z którego sterczą marchewki i kapusta. Wszystko jak u ludzi. Dobra gospodyni.

— Wsiadaj z powrotem — mruczy Elżbie-ta, przechodząc. — Jedź do mnie i nie znaj-mnie. Tadek już tam jest.

Zdziwione, krótkie spojrzenie, ale ani słowa. Zawróciła, wsiadła, pojechała. Na-stępnym pojechała Elżbieta.

I tak zaczęli się schodzić oczekiwani, uro-dzinowi goście.

Tadek otworzył drzwi. — Na litość bos-ką, Elżbieta, przeniesł telefon od gospodyni do przedpokoju. Będę próbował dzwonić do moich sąsiadów. Przecież ja nic nie wiem o rodzinie!

Dzwoni. Obie kobiety słyszą przez drzwi, jak Tadeusz pyta:

— „Byli? Już byli? Aha. Syna? Zabrali syna. Żona? Wysza potem z domu. Dzię-kuje“.

Wraca do pokoju. Twarz ma ziemistą.

— No, chłopiec jest wykończony — mówi. Potem siada. Siedzi siostra. Siedzi Elżbieta. I nic. Bo cóż? Jak u ludzi.

Dokąd poszła Lusiu? Jak ją tu sprowa-dzić? Jeśli poszła do biura, to wpadnie. A może będzie mądra i przyjdzie prosto tutaj. Musi być nieprzytomna. Za synem nie widzi świata. Nagle, wszystkim trojgu jednocześ-nie przypomina się Maryśka. Maryśka! Cór-ka Tadeków, świetna matematyczka. Wróci z pracy do domu, bo o niczym nie wie. Ratować.

— Marysiu — telefonuje Elżbieta — przyjdź do mnie na obiad.

— Ależ ciociu — odpowiada głosik — dziękuję, nie mogę, idę zaraz do domu. Wie-czorem przyjdziemy do was wszyscy czworo, powinszować Eli.

— Marysiu — akcentuje Elżbieta dobit-nie. — Słuchaj uważnie. Przyjdź do mnie na-tychmiast na obiad. Nie—do—domu...

— Jezus, Maria! — krzyknęła nieostroż-nie. — Już idę.

Elżbieta wraca do pokoju. Tadeusz wkła-da palto.

— Ty dokąd?

— Do Gestapo. Chłopca wzięli za mnie.

Niech mnie wezmą, chłopca wypuszczają.

— Idioto! Ciebie wezmą, chłopca nie puszczają. Masz żonę i córkę. Siedź.

— Idę!

Poczekaj, ktoś stuka, może Lusiu.

Istotnie, żona. Uśmiecha się wchodząc. U—ś—m—i—e—c—h—a. Twarz z wosku, usta z gumy. Rozciąga tę gumę, rozciąga, rozciąga...

— Muszę być przynajmniej tak dzielna, jak mój syn — oświadcza siadając i o nic nie pyta. Potem trochę opowiada. Chłopca wzięli w białiznie, wprost z łazienki; pytali o ojca, mówili nawet, że szukali go w biurze, więc tam nie poszła. Obiecali wrócić. — Dom już przepadł, ale to głupstwo.

— Prosiłam, weźcie i mnie. Nie chcieli — dodaje.

— Maryśka zaraz tu przyjdzie — mówi Elżbieta.

— Dziękuję.

Za pół godziny wpada Maryśka. Nigdy nie słyszeł takiego płaczu. Mieli dopiero wszy-scy usłyszeć — za rok. Wycie, zduszone wy-cie, żeby ludzie za ścianą nie usłyszeli. Ma-ryśka chce również biec do Gestapo na wy-mianę. Szaleje. Muszą ją trzymać siłą.

Na to wchodzi Ela. Urodzinowi goście?! Ale co za twarze? I nikt nie składa życzeń...

Inaczej zareagowała na wiadomość, niż kuzynka. Zareagowała, jak przyszyły chirurg. Radzić. Przede wszystkim wiadomymi dro-gami sprawdzić, gdzie chłopaka trzymają: Pawiak, czy Szucha? Potem posłać odzież, potem spróbować nadać gryps.

— Urodzaj na mądre dzieci — uśmiecha się ciepło profesor, doktor, inżynier.

— Nie ma teraz dzieci, stryliku.

— Ale co będzie z wami? — odywa się siostra. Nie macie już domu. Zamieszkacie u mnie.

— Tylko, aby nie wszyscy na kupie — decyduje Ela. — Stryjek zostanie u nas, bę-dzie spał na fotelach. Niestety dziś będzie musiał łaskawie wyjść o piątę na godzinke i pospacerować po działkach.

Elżbieta podaje obiad, to znaczy krupnik z kartoflami. Gmerali łyżkami w talerzach, jedni na cześć drugich. Wreszcie pojawiły się na stole urodzinowe ciastka — siedem — o jedno za dużo. Okna były otwarte. Nikt nie jadł. Nikt nie rozmawiał.

Nagle Tadek pyta niespokojnie: — Czy tu przed domem często stoją samochody?

— Dlaczego pytasz?

— Bo właśnie zatrzymał się samochód. Oho, to źle. Ostrożnie, wszyscy do okien: duży, otwarty samochód niemiecki: trzech gestapowców z karabinami do strzału idzie wprost w bramę.

— To po mnie — szepece Tadek. — Tra-fili po nitce do kępką. Wezmą was wszyst-kich. Darujcie.

Zostały sekundy. Roleta! Ścierka! Gdzie chować? Jak chować? Za późno. Ela chwytą ścierkę spod szafy wraz z zawartoś-cią i wybiega do kuchni. Tam jest skrzynia z węglem. Kubeł ze śmieciami — może ra-tunek.

Stuk, stuk, stuk do drzwi. Ale jakoś cicho, nie po niemiecku. Wszyscy stoją nie-ruchomo, jak przed egzekucją. Już nie ma co. Już nic nie warto. Koniec.

Elżbieta otowanymi nogami podchodzi do frontowych drzwi. Otwiera...

W drzwiach śliczna młoda buzia i uśmiech. Panna Marta! Rejonowa A.K. Przyszła uzgod-nić godzinę dzisiejszej przysięgi. Wie, że w obiadowej porze obie panie są w domu.

— Uciekać! Gestapo — syczy Elżbieta.

Marta bez słowa śmignęła schodami w górę. Elżbieta wraca. Chce zapalić papierosa, nie może. Wszyscy stoją, jeszcze czekają. Nie. Nie. Nie przychodzi nikt.

— Proszę pani! — wsuwa się gosposia przez drzwi. — Dzień dobry państwu. Ładny dzionek na urodziny panienki, pogoda, sio-nieczko. Tylko, że szkopy poszli do mieszka-nia tego młodego Michalskiego, co go to pro-wadzili dziś rano, w białej czapce. Widziałam z balkonu. Już go nie puszcza z łapów, jak przyszli szukać po mieszkaniu. A jego matka akuratnie na letniakach. On tu mieszkał kole nas, na drugich schodach, biedaczyna.

Tak skończył się obiad urodzinowy. Koło czwartej tamci wyszli do siostry, bezdomni i osieroceni. A o piątę zebrało się trzynaście kobiet — znowu urodziny posłużyły za pre-tekst wobec gospodarzy. Na otwartej napole-ońskiej sekretreze, która od tyłu kryła umy-walnię, spoczął hebanowy krzyż, odporny w srebro, pamiątka po przyjacielu, który poległ we wrześniu 1939. Szerzeg stanął na baczność. Każda po kolei zbliżała się i powtarzała za Komendantką:

„W obliczu Boga Najwyższego i Najświęt-szej Marii Panny kładę rękę swą na ten Święty Krzyż i przysięgam wierność Ojczyź-nie mej, Rzeczypospolitej Polskiej. Przysięgam stać na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli — walczyć...“

Teresa Żukowska

ZE WSPOMNIENIŃ O SIENKIEWICZU

(Dokończenie ze strony pierwszej)

Traktować Sienkiewicza swych bohaterów jako mniej lub więcej dobrych znajomych, czy nawet przyjaciół. Najbliżej żył się z Za-głobą i nieraz przy różnych okazjach zagady-wał Witkiewicza: „No, a co by teraz powie-dział Zagłoba?“ Podobno nawet, jak twierdzi-ła panna Maria Witkiewiczówna, część dowci-pów Zagłoby „była dziełem jej brata“.

Jeżeli z tych, czy innych względów, Sienkiewicz zmusił swego bohatera do posta-pienia inaczej niż „naprawdę było“ — czuł się zawsze niezadowolony. Tak np. miał utrzy-mywać, że Chilo Chilonides bynajmniej nie zmarł śmiercią męczeńską, lecz zdołał uciec w ostatniej chwili i po wielu przygodach po-wrócił do Grecji. Podobno również Eunice nie chciała się zajmować Ligią po jej cudownym ocaleniu, gdy odniesiono ją do domu Petroniu-sza. Zapytany kiedyś o „prawdziwe“ zacho-wanie Oleńki w niewoli u Bogustawa, odpo-wiedział: „Licho wie, jak to było. Stara Kul-wieczówna na pewno umiała w odpowiedniej chwili zostawić sam na sam tę parę...“

Takim oto pozostał pan Henryk w ro-dzinnej tradycji Witkiewicza i Jałowickich. Kult dla Sienkiewicza wpajało młodemu pokoleniu, które już go osobiście znać nie

mogło. Musieliśmy, jako dzieci, uważnie czy-tać książki Sienkiewicza i rodzice często egza-minowali nas, pytając: — „A w którym miejscu jest napisane: „Diabeł tu nie pomoże, nie tylko czerwona nitka“, albo „...a ty się nie zrywasz, szabli nie chwytasz, na koń nie siadasz...“

Minęły wojenne lata od chwili, gdy ostatni raz słuchałam o Panu Henryku opowieści mojej Matki oraz panny Marii Witkiewiczówny, przed wojną już 90-letniej staruszki. Toteż wiele Jego słów, tak zawsze wiernie przekazy-wanych przez starsze — młodszemu pokole-niu, zatarło mi się w pamięci i dlatego wspom-nienia dotyczą tylko niektórych książek Sien-kiewicza.

Ilekrót jednak wracam myślą do swoich lat dziecinnych i wczesnej młodości, muszę równocześnie powracać wspomnieniem do któregoś z sienkiewiczowskich bohaterów. I doprawdy nie wiem, czy bardziej byłam prze-jęta przechodząc w roku 1939 granicę wę-gierską, czy też gdy jako 10-letnia dziewczyn-ka wykradałam się w nocy z domu, aby wpływ przeżyć wielki, porośnięty trzcina, staw, wierząc głęboko, że muszę dać znać kró-lowi o oblężeniu Zbaraża.

W NIESPELNA ROK po upadku Warszawy i otwarciu się bramy obozu jeńców uwolniony dowódca Armii Krajowej, obecnie polski Wódz Naczelny, ogłasza pamiętnik z insurekcji Warszawskiej. Obszerne, z górą 40-stronicowe streszczenie zapowiedzianej publikacji podaje jerozolimską „Gazeta Polska”), wkrótce ukáže się sama książka.

Będzie ona na emigracji książką najcenniej wyczekiwaną, najbardziej czytana, tak jak byłaby nią niewątpliwie w kraju. Chociaż bowiem na bliższego, ista, przypadku już druga rocznica owych heroicznych 63 dni. Powstanie Warszawskie jest dla nas wydarzeniem tak bliskim, jak wciąż na nowo przeżywanym w zmiennych falach uniesienia i goryczy, tak bezustannie otaczanym pytaniami, sumienia, jak gdyby rzecz stała się dopiero wczoraj.

Trudno pogodzić się z zastygłymi ruinami, z hekatombą ofiar, mimo że nie brakło nam ciężkich doświadczeń i konieczności godzenia się ze śmiercią. Trudno pogodzić się z tą przegrana, poniesioną niemal w przededniu ostatecznego zwycięstwa nad Niemcami, mimo że już na początku wojny bieg wypadków nie oszczędził nam kapitulacji stolicy.

Od chwili wiadomości o wymarszu Armii Krajowej z Warszawy do obozu jeńców, o wyjściu ludności cywilnej do obozu w Pruszkowie, krag cierpienia powiększa się z każdym dnem. Czas nie przyniósł ani pociechy, ani złagodzenia ostrości bólu. Oglądamy coraz to nowe zdjęcia Warszawy, odnajdujemy coraz szcegółowsze opisy zniszczenia, urastające go w tym najdroższym nam mieście do jakiegoś symbolicznego karawizaku zienia, na której swoje pomniki zostawiała polska historia. Do roku! Niepodległości poszedł w gruz, ogień spopielił stanisławowskie pałace, bomby uderzyły już o setkę lat głębiej i zwały na Plac Zamkowy kolumnę króla Zygmunta, pociski niemieckiej artylerii przebiegały się przez całe stulecia, raniąc gotyckie stropy katedry Św. Jana.

Na złomach pomników, jakby na votum przeblagania, kładły się ciała żołnierzy, gotowych poświęcić najcenniejsze symbole polskiej wolności, byle ocalić samą wolność, rznieć wolności, byle ocalić samą wolność, rznieć wolności, byle ocalić samo państwo. Lista strażników spłota się z listą strat historii. Wiadomości z Kraju, ludzie wychodzący z niewoli, ogłaszane fragmenty wspomnień, przynoszą nowe nazwiska, wprowadzając żalobę do każdej warszawskiej rodziny. I ani jedna żałoba, ani jedna boleść nie doznaje ulgi, jaka daje świadomości pozytywnych wyników cierpienia i celowości strat, świadomości zwycięstwa.

Ostatecznym celem Powstania Sierpniowego, jak zresztą celem wszystkich kolejnych powstań polskich, było usunięcie okupanta i oddanie władzy w ręce przedstawicieli narodu. W ślad za towrodeniem w Warszawie poszły by wybuchy na prowincji, zamienając nadciągającą ofensywę sowiecką w klęskę Reichswehry i szybkie oswobodzenie kraju.

Ten cel polityczny był warunkowany, poza wszystkimi innymi czynnikami, osiągnięciem celu wojkowego, tj. złamaniem niemieckiego frontu nad Wisłą przez uderzenie polskie od wewnątrz i rosyjskie od zewnątrz. Wybrano więc tam Warszawę, jako węzeł dróg i kolei, wielkie skupienie ludności, gdzie latwiej mogły ukryć się oddziały Armii Krajowej, jako naturalną zapórę z kamienia i cegły, którą Niemcy uczyniliby ośrodkim oporu. Wreszcie Warszawa była widocznym kierunkiem nowej kampanii rosyjskiej.

Cel wojkowy osiągnięto tylko częściowo, w miarę zaś jak Powstańcy, po początkowym sukcesie, cofali się z poszczególnych dzielnic, wymykał się z rak cel polityczny. Akcja „Bryczy”, nie zwyciężając w Warszawie, nie mogła objąć kraju.

Jednym z założeń wojkowych i politycznych było współdziałanie czerwonej armii. Tymczasem Rosjanie nie tylko nie wzmoгли natarcia, nie pomagali lotniczo, nie ładowali na trzymany przez Powstańce przyczółkach mostowych lewego brzegu Wisły, ale gdy Niemcy zamykali Warszawę lukiem z jednej strony, ci zamknęli ją z drugiej. Warszawa była oblężona przez wroga i oblężona przez sojusznika. I jedni, i drudzy osaczali i starali się rozbroić oddziały spieszące się z odsieczą. W tych warunkach stolica nie mogła się obronić, musiała paść.

Padła po 63 dniach, spośród których za każdy prawie dzień pacyści pili tysiącami ludzi. Osiągnięto wprawdzie korzyści poboczne, jak zadokumetowanie wobec świata raz jeszcze walki i woli niepodległości, ale za to znowuż trzeba było zapłacić przetrzebieniem najlepszych formacji, oddaniem w niewolę głównych sił Armii Krajowej.

Zaprzecziliśmy ponad wszelką wątpliwość zarzutom pomawiających podziemia Polskie o niechęć walki z Niemcami i stosowanie taktyki „stania z bronią u nogi”. Ten nowy sukces propagandowy zażądał dla siebie całopalenia miasta.

Wobec kwestionowanego zaufania mas do prawowitej władzy Rządu, Powstanie odbyło plebiscyt, składający z zamiast kartek wyborczych dające krwi i życia. Ile strat, tyle głosów. I wieczna rana w serce polskim: strzały do warszawskich kobiet pędzonych przed niemieckimi czołgami.

Nie wolno więc się dziwić, jeżeli na widok takiego rachunku w społeczeństwie polskim rosna pytania dochodzące, jakie racje wojskowe nakazywały wybuch, jaka była podstawa nadziei na pomoc zewnątrz i jak cynkicznie przesażli o niepowodzeniu. Nie ma w tym pomniejszania Warszawy; jest to tylko wynik gorączki trapiącej ludzi na próżno usiłujących

pojąć tragiczny koniec, tak dziwny, tak sprzeczny z samą naturą wojny.

Rosjanie oskarżają nas o błąd wojskowy, jakim byłby przedwczesny wybuch. Wśród nas samych rośnie poczucie zawodu i przerażenia wobec ilości ofiar. Człystnicy pamiętników dowódcy Warszawy będą w nich szukać wyjaśnienia całego sprawy, ale oprócz informacji, które pozwolił im sformułować sobie ważne wnioski, przede wszystkim spotkają się w tej książce od pierwszej strony z owym niewytkłm stosunkiem do Powstania, który umiał przetrwać a poza rozezorawaniem kapitulacji, żołnierze, ochotnicy, harcerze, dziewczęta pełniące w Warszawie służbę łączniczek i sygnalistek, siostry z bombardowanych i płonących szpitali, słowem cała młodzież z sierpniowej walki uważa Powstanie za najwzjęszy wykwit polskości, za najpiękniejszą chwilę życia, najmniejszą służbę dla ojczyzny.

Nie darmo przecież jako nagrody za dzielność domagano się pozostawienia na posterunku, przywileju rezygnacji z odpoczynku. Tak, żałują, że nie wygrali, ale nie żałują, że się bili. W tym jest głos narodowego instynktu i tego nie mogą zagłuszyć żadne racje.

Zapewne, nie jest łatwo w pełni odczuć tę atmosferę ludzkom korzystającą się ze swobody jako z rzeczy równie naturalnej jak powietrze. Dla Warszawy 63 dni walki były odcznięciem pamięci jak wygląda wolność, zachęceniem oddachu przez zduszone płuca. Wybuch powstania stał się potrzebą organizmu narodowego.

Przygotowywały te spontaniczne reakcje piękne słowa brytyjskich audycji o solidarystycznym sojuszników w walce z Niemcami, deklaracji o „natchnieniu świata”, wołanie moskiewskiego radia, powtarzającego co dzień: idziemy, zbliżamy się, jutro będziecie wolni, wreszcie — huk dział dochodzący zza Wisły.

W chwili zaś, kiedy Niemcy ogłosili pobór stu tysięcy na roboty fortyfikacyjne, sytuacja stała się nieodwracalna, jak po brance Wielopolskiego. Tym razem nie można było ująć w lasy, można było tylko strzelać.

„Niech pan zaczyna !”

NATURALNA REAKCJA wobec niepowodzenia wojny, wobec przegranej bitwy, jest szukaniem błędw w obliczeniach i błędem, czy Czy Powstanie było podobnym błędem?

Tak przynajmniej twierdzi oficjalna teza sowiecka, zarzucająca Warszawę przedwczesny wybuch walki. Zarzut lekkośmiesności pod adresem polskiego dowódcztwa, zarzut drugi — podporządkowania decyzji względem politycznym, a nie militarnym, popierają Rosjanie jednym właściwie faktem: nieudzieleniem pomocy Powstaniu przez czerwoną armię.

Przypomina to rozumowanie herszta szulerów z „Perel Korony” Sachy Guityry. Herszt, mając do podziału pięć pereł pomiędzy siebie i dwóch wspólników, dał każdemu po jednej, dla siebie zatrzymał trzy. — Czemuż ty wzięłeś trzy, gdy my mamy po jednej? — pytają członkowie bandy. — Ponieważ jestem hersztem. — A czemuż to jesteś hersztem? — Bo mam trzy pereły, a wy tylko po jednej...

Stab Powstania od początku wiązał swoje nadzieje sukcesu z akcją armii rosyjskiej. Uderzenie polskie miało stać się częścią manewru sowieckiego i zniszczyć Niemców przy współdziałaniu żołnierzy marsz. Rokossowskiego. Powstanie było zdolne do opanowania Warszawy, ale mogło ją utrzymać tylko w obliczu nowej rosyjskiej ofensywy. Dlatego też oparcie decyzji wybuchu na poleceniu wojsk sowieckich i wybranie momentu dogodnego dla Rosjan decydowało o powodzeniu całego przedsięwzięcia.

Już sam fakt pozostawienia gen. Borowi przez rząd polski w Londynie swobody decyzji, sygnał „Burza” świadczą, jakie dalece termin walki uniezależniał się od względów politycznych, a wchodził w ścisły związek z przyczynami natury wojkowych. Raczaj Londyn, niż Warszawa, mógł widzieć całokształt położenia politycznego, ale niewątpliwie gen. Bor, człowiek znajdujący się na miejscu, korzystający z wywiadu, miał raporty dokładniejsze i szybsze, i co za tym idzie — lepsze wyuczucie sytuacji wojkowej. Jeżeli nie powstania miały zależeć od natarcia sowieckiego i szans współpracy z czerwoną armią, dowódca Armii Krajowej w Warszawie był najwłaściwszą osobą do powzięcia decyzji.

Powtórzenie mu jej było też logicznym wynikiem założeń przestrzeganych przez Londyn w stosunku do wkraczających na naszą ziemię wojsk rosyjskich. Sfery rządowe starały się wówczas doprowadzić do nawiązania stosunków dyplomatycznych z Rosją, osłabienia pozycji Komitetu Lubelskiego i osiągnięcia jakiegoś możliwego do przyjęcia kompromisu. Ujawnianie się i zgłaszanie formacji podziemnych do współpracy z armią czerwoną miało być dowodem braku wrzeglích intencji wobec Rosji, dowodem dobrej woli, przyniesie jako rezultat rozpoznać przez Moskwę pertraktacji z rządem polskim w Londynie. Proste następstwo tej metody czyniło z zamierzonym powstania w Warszawie demonstracyjny gest wobec Rosji, demonstracyjny gest wobec Zachodu, dokument naszemu sojusznikowi lojalności, szukającej porozumienia ze wschodnim sąsiadem. Tak więc nie ocena intencji polityki sowieckiej, ale bieg wojny rozstrzygał o Powstaniu.

W tym układzie warunków zadanie gen. Bora można określić jako przygotowanie, a następnie dokonanie uderzenia w Warszawę w chwili, która będzie uważała za najpozytejszą dla postępowania armii czerwonej. Boleszywie oskarżają dowódcę Armii Krajowej, iż działał właśnie wprost przeciwnie — że nie wziął pod

ZDZISŁAW BRONCEL

uwagę sytuacji na prawym brzegu Wisły i oczekiwał rzeczy niemożliwej: frontowego ataku Rosjan na Warszawę.

Jak wynika z pamiętników gen. Bora, obliczenia polskie były zgola inne. General nie spodziewał się forsowania przemyru przez Wisłę i natarcia od czoła. Liczył, wbrew temu o co oskarża go propaganda sowiecka, że Warszawa będzie ostatecznie oswoobodzona od Niemców dopiero w wyniku manewru okrążającego, połączonego z wejściem Rosjan do Warszawy dzięki opanowaniu brzegu Wisły przez Powstańców — stąd też swoją rolę widział w maksymalnym ułatwianiu ruchów sowieckich.

Sytuacja w ostatnich dniach lipca przedstawiała się jak następuje: Armia Krajowa w oczekiwaniu na ofensywę wojsk rosyjskich skoncentrowała w Warszawie około 50.000 żołnierzy. Wprawdzie tylko 20.000 posiadało broń, ale wierzone, że wyposażenie dla reszty potrafi się zdobyć na Niemcach. Rosjanie walczyl już o Pragę, zbliżali się ku miastu z kierunku północnego i bili się na północny wschód od Warszawy z drugą armią niemiecką.

Plan projektowanego powstania rysował się jasno: nagłym uderzeniem opanować stolicę, ująć w ręce największy polski węzeł komunikacyjny, przeciąć Niemcom transport na linie frontu, stanąć mocno między tyłami wroga a jego pozycjami bojowymi, wreszcie stworzyć nad Wisłą przyczółki mostowe, na których wydługa Rosjanie po złamaniu oporu oddietę do posilków Pragi. Przeprawa, nie do pomyslenia przy obecności Niemców na wysełkarni warszawskim brzegu, stawała się możliwą, gdy gdzieś ją ochraniać akcja polska i zapewne przyczółki.Niski stan rzeki stwarzał duże nadzieje — koryto wiślane przecięły liczne miziny i piaski, a odległość między brzegami zmniejszała się do 250 metrów. Polskie powstanie, rosyjski desant, dodawały do ofensywy sowieckiej idącej szerokim lukiem uderzenie w sam środek niemieckiego frontu. Mogło to całkowicie złamać Niemców, zniszczyć próbę odwrotu hitlerowskiej armii, przetrwać wprawdę pogrom hitlerowskich dywizji.

Pozostawał wybór terminu. Jak notuje gen. Bor, 30 lipca wywiad polski zauważył w Radiosł, 16 km od Warszawy, kolumnę czołgów sowieckich. Następnego dnia komunikat rosyjski doniósł o wzięciu do niewoli dowódcy 73 niemieckiej dywizji, broniącej Pragi. Upadek tego przedmieścia stawał się kwestią dni i sztab powstańcy musiał chwytac nadarzającą się mu się sposobność.

Powstanie mogło liczyć na zwycięstwo tylko w razie szybkiej pomocy rosyjskiej, sprawa odcieczia drugiego brzegu Wisły od głównych sił niemieckich decydowała o wzięciu Pragi przez Rosjan, tym samym o ich rychłym pojawieniu się w Warszawie. W tej sytuacji celem akcji polskiej byłoby przede wszystkim

Rzecz czytana na wieczorze Związku Działaczy Polskich w Londynie, poświęconemu Powstaniu Warszawskiemu, w wieczorne tym wzięło udział kilka uczestników Powstania.

DZISIEJSZY wieczór jest jakby przełamany na dwie połowy. Do tej chwili stawali tu uczestnicy wydarzeń sprzed roku, współtaktorzy, współtwórcy krwawego dramatu. Teraz stajemy im naprzeciw my, którzy byliśmy i jesteśmy tylko przytomnymi, współczującymi świadkami. Głosem uniesienia, zapamiętania, bólu, niezgruntowanej goryczy i niepokonanej wiary mówili tamci. My jesteśmy chór, aby im odpowiadać.

Jak chór tragedii antycznej winniśmy odpowiedzieć echem odbitym od serca i czynnym namysłem, winni jesteśmy wziąć ciężar oceny tej tragedii, największej w naszym pokoleniu. Jak chór antycznej tragedii, który nie działa, ale czuje, który wie, ale nie ma wpływu na bieg zdarzeń, na to co się stanie, co się stać może, co się stać musi, — chcielibyśmy ich przestrzec, ale oto los już się dopełnił. Chcielibyśmy ich powstrzymać, ale już dobieg kresu obieg piekielnego koła. Chcielibyśmy się uwieścić u ich zapalczywości i studzić ją, ale śmierć i klęska nas wyręcza.

Chór wie, rozumie, ale nie nie może. Jest po to, aby odpowiadał: tym, którzy padli i krzyczą spod ziemi w śnie gorączkowym, tym, którzy ocalili i dźwigają brzmieie klęski, im, i Bogu, i Przemaczeniu, i Historii.

Chór będzie odpowiadał. Po to jest. Wokół spraw, co rok temu rozegrały się na miejscu ziemi nazywanym Warszawą, jest w tej chwili głośno. Zbyt głośno. Czujemy to my, którym nie wolno jeszcze pójść na domniemanie miejsce, gdzie stał nasz dom i gdzie jest grób naszych bliskich i naszej młodości, wszystkiego co dobre i szczerśliwe. Słyszmy z daleka ten rozgłosny, jarmarczny krzyk na polu umarłych, ten samowolczy przewód. Słyszmy, jak stają w nim fałszywi świadkowie i winowajcy szukają winnych.

Jest to już druga postać odniesienia się do tragedii warszawskiej. Zrazu dążono do tego, aby wszystko przeznaczyć, poniżyć, zeliżyć, obrócić na nice sens wszystkiego. Z otwartym wyznaniem zdrowego rozsądku usiłowano do wieść, że walcząc z Niemcami, umierając od ich bomb i pocisków, powstańcy współpracowali z Niemcami. Gdy świat w to nie uwierzył, bo nie mógł uwierzyć, gdy stanął przeciw temu odpór powszechnego odczucia, odpór polskiego instynktu — jesteśmy widzami innej próby.

Oddzielił czyn od ludzi. Oddzielił zbiornostwo od przerwódów, chwalił „ślepe bohaterstwo”, a potępiał zamysł i wykonanie. Z dzieła jednoci uczynił pretekst do rozszczępania nas na drzazgi. Dzieło zbiornowej woli odmienił w żrdoło niewiary w siebie. Dzieło wielkości i przedstawił jako popis małych ambicji osobistych. Odebrał całemu wydarzeniu symbole, pozbawił je ludzi — przedstawicieli: nie mogąc zrobić tego, co Niemcy zrobili ze Stefanem Żabinkim, skazał ich na śmierć cywilną od ciężaru obelgi, potęwy i rzekomej winy. Sławił nieznanego, bezimiennego powstańcę, a niszczył każdego, który jest w zasięgu ręki i ma imię, choćby nie swoje, ale pożyczone, nie jak dach przynagłego schronienia.

Taka jest judaszowa logika tego, co się wokół powstania w tej chwili mówi i robi. A prawda tego faktu jest inna, jest do dna odmienna. Powstanie warszawskie stanowi najwyższe wspaniele doli polskiej w tej wojnie. stanowi tej doli tragiczną syntezę. Gdy się wpatrujemy, wymyślamy w spłot zdarzeń, ich obrót tak, a nie inny, zdawają by się najgorzej z możliwych — staje się jawne, że w Warszawie skunila się, osiągnęła szczyt cała desperacka zawziętość naszego póżożenia, naszego wspanłego losu. Osaczenie przez okoliczność, ten krag, który się wokół nas zamykał, zaczął się najciszej.

W tym położeniu Warszawa miała zapewne kilka dróg do wyboru. Mogła oddać 100.000 ludzi „do budowy fortyfikacji”, to znaczy zacząć ich na zatrzymanie. Mogła oddać swoje ulice,

zamknąć Niemcom drogi do mostów na Wiśle i niedopuszczenie posilków na Pragę.

Powstanie, natychmiastowe powstanie, wprost narzucało się jako logiczny wniosek wojskowy. Mimo to, gen. Bor miał swoje powody, by czekać.

Dowódtwo polskie ocniało ostrożnie. Je Rosjanie staną naprzeciw Warszawy w dniu 6 sierpnia. O dopuszczalności tych przewidywań świadczy, że Stalin w rozmowie z St. Mikołajczykiem wymienil ten sam termin. Ponieważ jednak zapasy amunicji i żywności starczyły tylko na 5, najwyżej na 7 dni, w interesie Armii Krajowej leżało stworzenie możliwości jak najmniejszego przedziału czasu między początkiem akcji a wejściem Rosjan na Pragę. Każdy dzień zwłoki oszczędzał broni, której brakło, gdy nie brakowało obrobów. Wstrzymywał się więc General wyდიem hasła, chociaż posiadał już przesłanki decyzji.

Ale o wybuchu, obok postępów sowieckich, rozstrzygało także zachowanie się Niemców. Wzrost sił niemieckich mógł powstaniu w ogóle odebrać rację bytu, a tymczasem Niemcy budowali pospiesznie umocnienia, wzmacniali obsadę zagrożonych punktów, wprowadzając ostrą godzinę policyjną. Wówczas naszedła wiadomość, że zbliża się dywizja im. Hermann Goeringa, idąca z pomocą Pradze, w drodze są tryz dalsze dywizje, okupanci zaś zamierzają zarządzić pobór 100 tysięcy ludzi.

To zdecydowało. Powstanie należało robić albo teraz, albo nigdy. Jutro trasa przez miasto i most Kierbedzia mogły być pełne pancernego wojska. Gdy Praga otrzyma posilki, wejście Rosjan odrocy się do niewiadomego terminu.

Nie nie wolno od strony wojkowej zarzućci wnioskom gen. Bora i podziemnego rządu. Ale wśród pytań, których rozstrzygnięcie jest udziałem wodza, znajdowało się jeszcze jedno. Czy Rosjanie zamierzają istotnie uderzyć, czy się nie cofną, czy nasza akcja rzeczywiście jest przez nich oczekiwana — rozwiązanie tej ostatniej niepewności przesażdało losy Powstania. Było dla wszystkich zrozumiałe, że przeważa w działaniach po drugiej stronie Wisły może oznaczać albo niewspółmierne straty, albo powolną agonię, albo nawet ostateczny koniec.

Fakty jednak mówily za siebie. Lipcowy numer czasopisma „Wojna i roboty klas” zapowiadał, że Warszawa będzie „pierwszą stolicą w Europie Środkowej, która odzyska wolność”. Radio sowieckie wzywało do walki, gdy jeszcze Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

Wojnę, w której Rosjanie stali nad Wołgą, dziś zaś niecierpliwość rosyjska w oczekiwaniu powstania dochodziła do tego, że przyrzeczenia pomocy przeplatano wiadomościami o rzekomym rozgoryczeniu w szeregach Armii Krajowej, wywołanym przez odrzucanie ostatecznej decyzji. Moskwa od kilku dni powtarzała

KLUCZ LEŻY W MOSKWIE...

SYTUACJA PRZEDWYBORCZA W POLSCE

W SWEJ MOWIE wygłoszonej przed parlamentem angielskim konserwatywny poseł mjr. Tufton Beamish, jeden z uczestników wycieczki angielskich parlamentarzystów do Polski — charakteryzując sytuację przedwyborczą w Polsce — stwierdził następujące fakty:

1) obie skrajne lewicowe partie PPR i PPS ustosunkowują się do wyborów niechętnie: w poczuciu braku oparcia o masy opowiedziały się one stanowczo za wspólnym blokiem wyborczym i jedną listą kandydatów;

2) w przeciwieństwie do nich, Polskie Stronictwo Ludowe — najliczniejsze w kraju i rozporządzające największymi wpływami, ze względu na swój negatywny stosunek do komunizmu — pragnie pójść do wyborów z własną listą kandydatów; decyzja taka może spowodować „trudności” (troubles) ze strony skrajnej lewicy, przy poparciu Rosji — jak mu to delikatnie sugerowano.

3) wybory w Polsce — zdaniem posła Beamisha — mają rozstrzygnąć nie o siłach poszczególnych stronnictw, lecz problem zasadniczy: czy Polska ma być rządzona demokratycznie w ustroju odpowiadającym zachodniemu pojęciu demokracji, czy też według narzuconego systemu sowieckiego.

4) gdyby wybory w Polsce miały odbyć się systemem jugosłowiańskim, tzn. przez głosowanie na jedną listę kandydatów, byłoby one tylko farsą — co zresztą tymi samymi słowami potwierdził inny uczestnik wycieczki, socjalistyczny poseł Hynd.

W chwili, kiedy poseł Beamish informował parlament o sytuacji przedwyborczej w Polsce, w kraju toczyły się jeszcze rokowania między przedstawicielami PSL a skrajną lewicą, usiłującą wymusić decyzję wspólnego bloku wyborczego. Komuniści (PPR) oraz podporządkowani im pseudo-socjaliści proponowali wspólną listę wyborczą, głosząc potrzebę utrzymania tzw. „jedności narodowej”, w istocie zaś zdając sobie sprawę, że bez posiadania oparcia w społeczeństwie, jedynie w tej formie mogą kusić się o zapewnienie dla siebie większości w przyszłym parlamencie, gdyby wybory miały się rzeczywiście odbyć w swobodnej atmosferze. Aczkolwiek decyzja rzeczywistych rządów niewypuszczenia władzy z rąk nie ulega wątpliwości i, bez względu na wynik wyborów, w ten czy inny sposób istotna władza pozostanie w ich rękach, tym niemniej wspólna lista wyborcza byłaby dla tego manewru formą najwygodniejszą, najmniej drastyczną, najpłodniejszą dla upośrodkowania „demokratycznych stosunków” w Polsce.

Komunistyczna propozycja rozdziału mandatów była następująca: cztery główne stronnictwa, a więc PPR, PPS, PSL i SL otrzymałyby po 20% mandatów, pozostałe zaś, tj. Stronictwo Pracy i Stronictwo Demokratyczne — po 10%. W ten sposób, ograniczając udział PSL do 20% mandatów, utrwaliło by się obecny stan rzeczy, w którym udział tego najliczniejszego stronnictwa zarówno w „rządzie”, jak i w „Krajowej Radzie Narodowej”, jest znikomy, jeśli nie całkowicie iluzoryczny.

Trzeba bowiem pamiętać, że tzw. Stronictwo Ludowe (SL) jest wynikiem dywersji komunistycznej w dawnych szeregach ludowych, o stosunku zaś PPS do PPR świadczą choćby wybory do tzw. rad zakładowych, przeprowadzone na jesieni ub. roku. PPR wymogło wówczas na PPS ustanowienie wspólnych list, tak że w 70% zakładów fabrycznych obie partie szły razem; w rezultacie PPR zagarnęła 1.220 mandatów, pozostawiając tylko 868 dla PPS. (Istotne zwycięstwo odniosła grupa bezpartyjnych — 1.278 mandatów). Tam zaś, gdzie PPS wystawiła oddzielną listę i wskutek tego zyskała więcej mandatów niż PPR, zjeżdżała specjalna państwowa „komisja” kontrolna i unieważniała wybory.

W tych warunkach, przy poddaniu PPS i SL pod wpływ PPR, blok komunistyczny zachowywał dla siebie z doczepionym Stronictwem Demokratycznym, w wypadku wspólnej listy, 70% mandatów, pozostawiając dla PSL i grupy Popiela w sumie 30% mandatów.

PSL usiłowało początkowo zyskać na czasie. Na kongresie tego stronnictwa w styczniu br. postanowiono odłożyć decyzję w sprawie udziału we wspólnym bloku wyborczym do chwili ustalenia daty wyborów i ogłoszenia ordynacji wyborczej. Wówczas komuniści i socjaliści przy pomocy ultimatum, naznaczającego datę 1 marca, jako termin ostatecznej odpowiedzi w sprawie bloku wyborczego, zmusili PSL do wysunięcia konkretnej kontrproponycji. Wyrażała się ona żądaniem 75% mandatów, co odpowiadałoby — zgodnie z opinią licznych obserwatorów zagranicznych — istotnej pozycji PSL w kraju. „Stockholms Tidningen” w relacji swego korespondenta z Polski oblicza możliwości wyborcze PSL nawet na 80% mandatów. Byłaby to nie tylko większość, ale większość wprost przytłaczająca, nie spotykana dotychczas w wolnych wyborach.

Oczywiście, nie można stąd wyciągać paradoksalnego wniosku, że np. ludność miast polskich zamieniła się w drobnych posiadaczy ziemskich, w rolników i robotników rolnych i dlatego gotowa jest oddać swe głosy na rzecz PSL. Na PSL głosowały po prostu każdy, kto nie głosowałby na blok komunistyczny, a że takich jest w kraju zdecydowana większość, zwycięstwo PSL w wyborach wolnych byłoby dziś zapewnione.

Żądanie PSL, wysunięte na konferencji stronnictw w dniu 21 lutego br., zostało uznane przez grupę komunistyczną za zerwanie rokowań i rozpoczęło ostrą burzę ataków przeciw przywódcom PSL. Radio i prasa, będąca w 90% na usługach „rządu”, zarzuca ludowcom rozbijanie „jedności narodowej”, sojusz z reakcją, porozumienie z emigracją, dążenie do supremacji w Kraju i do zmiany sowieckiego obecnie ustroju. Odbijają się wiecie, na których „spontanizm” i „jednogłośnie” uchwała się rezolucje, potępiające stanowisko PSL. Na owych zebraniach przemawiają „najwyższe osobistości”, jak Osóbka i Gomółka, którzy określają przywódcę PSL-u jako „głównego winowajcę zbrodni powstania warszawskiego”, „kontynuatora zgubnej polityki emigracyjnego rządu londyńskiego”, „wroga demokracji” opierającego się w swych kalkulacjach wyborczych na „rzeszy spekulantów miejskich i na wywłaszczonych obszarach”. Jest to jednym z przykładów, jakich rezultatów swej polityki ustępstw doczekał się St. Mikołajczyk. Propaganda posuwa się do tego, iż ustulę wmawiać, że na stanowisko PSL wpłynęli bogaci chłopcy, którym „nie w smak reforma rolna”. Gdzież jest owa rzekoma masa chłopskich obszarników, rozporządzających

gruntami ponad 25 hektarów, gdzie są owi ziemianie — obszarnicy, o których ciągle słyszymy, że stanowią większość wśród żołnierzy II Korpusu, w masach uchodźstwa wiernego legalnemu rządowi i w samym rządzie? Dziś dopiero dowiadujemy się, że chociaż wszyscy oni jako „reakcjonisci” znaleźli się na emigracji, jednakże w Kraju jest ich jeszcze tylu, że mogą swoimi głosami decydować o zwycięstwie tego lub innego stronnictwa. Dziwna doprawdy matematyka.

Równoległe z atakami na przywódców PSL, komuniści i socjaliści usiłują pozyskać masy chłopskie przez apelowanie do solidarności chłopsko-robotniczej. Lewicowa prasa angielska wyraża opinie, iż „PSL jest do walki wyborczej doskonale przygotowane”, a liczni korespondenci i obserwatorzy zagraniczni stwierdzają, że Polskie Stronictwo Ludowe posiada wielu „cichych zwolenników” nawet wśród mas wyborczych tych stronnictw, gdzie część przywódców odeszła od dawnej tradycji politycznej i podporządkowała się

PPR. Ponadto, poseł Beamish oświadczył niedawno, iż np. „Stronictwo Pracy Popiela nie wydaje mu się zbyt pewnym sojusznikiem PPR i PPS” ..., a „Observer” z dnia 6 bm. pisze, że znaczna część socjalistów nie aprobuje stanowiska góry partyjnej i w konflikcie przedwyborczym nie zamierza walczyć z PSL.

Dzięki zdrowemu instynktowi i twardemu stanowisku polskich mas chłopskich, reprezentujące je Polskie Stronictwo Ludowe jest dziś jedyną w Polsce legalną partią polityczną, która stanowczo odmawia podporządkowania się komunistom, stojąc nadal na gruncie niepodległości Polski. Ta postawa, panująca zwłaszcza w dolach Stronnictwa, nie pozwoli również nikomu z przywódców ludowych pójść dalej na drodze ustępstw na rzecz utrzymania pozornej przynajmniej koalicji partii w łonie tzw. „rządu tymczasowego”.

„To założenie polityki PSL zapewni temu stronnictwu daleko więcej zwolenników, niżby

* * *

Niniejszy numer „W Drodze”, gotowy do druku na dzień 15 marca, ukazuje się — z przyczyn od redakcji niezależnych — z datą 31 bm. Czytelnicy otrzymają go więc w tej postaci, w jakiej był przygotowany przed dwoma tygodniami.

Wówczas to, podczas łamania numeru, nadeszła wiadomość o liście, jaki min. Bevin postanowił skierować do żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, które walczyły poza granicami Kraju. Min. Bevin, proponując polskim żołnierzom ułatwienie powrotu do domu, zapewnił ich w swym oświadczeniu, iż na podstawie udzielonych mu przyrzeczeń administracji warszawskiej sądzi, że powracający żołnierze nie będą poddani prześladowaniom ze strony tejże władzy.

Sam fakt, iż żołnierzowi, który miałby prawo, po bohaterskim spełnieniu swych obowiązków, wracać na ziemię ojczystą, byle wolną i swobodną, trzeba udzielać szczególnej gwarancji bezpieczeństwa — musi budzić najwyższy niepokój.

Mamy zresztą w pamięci los 16-tu przywódców polskich, sądzonych w Moskwie, aresztowanych zaś po udzieleniu gwarancji nietykalności przez wysokie czynniki sowieckie; trzymanych w więzieniu i skazanych — wbrew protestom całego świata demokratycznego z W. Brytanią i St. Zjednoczonymi na czele.

Niezależna opinia polska zawsze przeciwstawiała się postanowieniom Jałty, dziś jednak należy zwrócić uwagę, że zastrzeżone w Jałcie gwarancje, zobowiązujące tzw. „rząd tymczasowy” do poszanowania zasad demokratycznych i przeprowadzenia wolnych wyborów — mimo ich międzynarodowego charakteru stają się jednym więcej świstkiem papieru. Trudno więc zrozumieć, czemu nowe przyrzeczenia administracji warszawskiej miałyby być bardziej wiarygodne od poprzednich, już złamanych zobowiązań.

Istota rzeczy leży po prostu w tym, że trudności, jakie odczuwają Polskie Siły Zbrojne, są wynikiem ataku komunistycznej polityki na wszystkie pozycje demokracji zachodnich, z którymi trwa w niewątpliwym związku ideowym ta prawdziwie polska armia.

Najbliższy nam terytorialnie spośród jednostek Wojska Polskiego — 2 Korpus, który zapisał się w historii drugiej wojny światowej wspaniałymi zwycięstwami, jest na emigracji — wraz ze związanymi z nim oddziałami — jednym z najżywszych, najbardziej twórczych ośrodków polskiej myśli politycznej oraz rozległym skupieniem ruchu kulturalnego. Otacza go też miłość i oddanie wszystkich prawdziwie wolnych Polaków. Jest on dla nas symbolem wytrwania przy tych zasadach, w imię których weszliśmy do wojny, każdy zaś zamach na żołnierzy 2 Korpusu odczuwamy jako zamach na istotne interesy Polski. „W Drodze” niejednokrotnie dawało wyraz podkreślonemu tutaj stosunkowi do 2 Korpusu, poczuwając się do wyraźnej z nim łączności.

*

Czytelnicy „W Drodze” z pewnością odczuli, że pismo od kilku miesięcy zmaga się z coraz większymi przeciwnościami. Zmniejszenie objętości do 8-u stron, następnie przejście na miesięczne odstępy między numerami, świadczy o niełatwej sytuacji wydawnictwa i redakcji.

Zadanie nasze — utrzymanie pisma rzetelnie informującego, uczciwie analizującego, mającego zwyczaj mówienia prawdy, otwartego szeroko, bez względu na wewnętrzne spory, dla piór niepodległościowej emigracji polskiej, wierzącego, iż walce o niepodległość musi towarzyszyć walka o postępowość — nie zawsze było łatwe, na tle ostatnich wydarzeń stało się jeszcze trudniejsze.

„W Drodze” spotykało się nieraz z objawami sympatii, ale również i z krytyką. Tylko pismo martwe nie jest krytkowane, tylko pismo nudne i pospolite nie wzbudza dyskusji. Nigdy jednak lojalny krytyk nie podawał w wątpliwość uczciwości stanowiska redakcji i oddania pisma dla naszych zasadniczych celów. Każdy zaś numer znajdował żywy odgłos w postaci licznych listów czytelników, wśród których szczególnie dodawały otuchy pozdrowienia podpisane czołowymi nazwiskami polskiej publicystyki, poezji i prozy. Mówiły one o potrzebie pisma takiego, jakim jest „W Drodze”, zachęcając nas gorąco do trwania przy tym warsztacie pracy pisarskiej i redakcyjnej. Najżywcze słowa otrzymaliśmy od kolegów i przyjaciół z 2 Korpusu, którego żołnierze obok uchodźstwa cywilnego na Środkowym Wschodzie byli naszymi głównymi czytelnikami.

Kiedy zamilkły „Wiadomości Polskie”, a „Nowa Polska” wyciągnęła wnioski z popieranej przez siebie polityki ustępstw bez granic, „W Drodze” pozostało jedynym dużym periodykiem polityczno-literackim. W międzyczasie jednak ugruntował swój byt „Tygodnik Polski” w Ameryce i pięknie rozwinął się „Orzeł Biały”. Wydaje się, że dziś, wobec przeszkód, z jakimi może spotykać się owocna działalność prasowa 2 Korpusu, „W Drodze” jest bardziej potrzebne niż kiedykolwiek, nawet jeżeli publicystyka emigracyjna odzyskałaby dawne zasłużone pisma, zamknięte niegdyś pod presją polityczną. Mimo to, nie możemy zapewnić czytelników, że bieżący numer nie jest numerem ostatnim. Jeżeli i tym razem uda się nam przemóc złe wróżby, tym bardziej postaramy się treścią następnego numeru wynagrodzić przykrość, jaką — przypuszczamy — robimy czytelnikom tą zapowiedzią. Jeżeli nie — wówczas pozostaje już pismu tylko jedna ambicja: aby widziano, że nas nie ma.

„W Drodze” redagował od założenia do dnia 1.IV. 1945 dr. Wiktor Weintraub. Po zaproszeniu dr. Weintrauba do pracy w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji przez min. prof. Pragiera, kierownictwo pisma objął red. Zdzisław Broncel.

mogło ono ich pozyskać samym tylko programem reform wewnętrznych” — pisze warszawski korespondent „Manchester Guardian”.

Mając do wyboru z jednej strony blok na wpół fikcyjnych partii, z drugiej zaś PSL, społeczeństwo polskie skłania się, rzecz prosta, ku tej drugiej możliwości, bez względu na odcienie poglądów politycznych czy społecznych. W tej pozycji PSL leży jego siła — zdając też sobie z tego sprawę jego przywódcy, jak świadczy o tym mowa sekretarza PSL — Wójcika, wygłoszona w Krajowej Radzie Narodowej. Wójcik polemizuje z blokiem skrajnej lewicy, podkreślając stanowczo, iż stronnictwo jego „gotowe jest do współpracy, lecz nigdy nie przyjmie dyktatu”; rozprawia się też z zarzutami reakcyjności i opozycji „antydemokratycznej”, stwierdzając, iż nie można większości narodu pomawiać o reakcyjność i nazywać jego stanowiska — stanowiskiem opozycyjnym.

Czego Wójcik — w obliczu terroru stosowanego do każdego, kogo pod miano opozycji da się podciągnąć — otwarcie powiedzieć nie mógł, można swobodnie stwierdzić pisząc w innych warunkach: istotnie nie ma demokracji w Polsce, ani też nie zmierza ku niej rozwój sytuacji wewnętrznej od chwili uznania tzw. rządu tymczasowego.

W Polsce panuje terror, który może osiągnąć nieprawdopodobne rozmiary w okresie wyborów. „Komuniści — mówił poseł Beamish — odgrają się wojną domową w wypadku zwycięstwa wyborczego PSL, podkreślając, że w wojnie tej będą mieli po swojej stronie Rosję”.

Decyzja jałtańska była bezprawiem usiłującym nadać sobie pozory prawa. Dziś giną i pozory, czy nawet ich resztki. W opinii bowiem mocarstw zachodnich podstawowym warunkiem uznania tzw. „rządu jedności narodowej” było zobowiązanie tegoż „rządu” przeprowadzenia w Polsce w jak najkrótszym terminie wolnych i nieskrepowanych wyborów.

Znakomita większość opinii polskiej zarówno w Kraju, jak i poza jego granicami, zdawała sobie sprawę, iż zobowiązania tego „rządu tymczasowego” nigdy na serio nie brał i brać nie mógł. Fikcyjna koalicyjność „rządu” nie ludziła Polaków, którzy wiedzieli, w jakich warunkach on powstał i co reprezentuje.

Powstanie swoje zawdzięczał — tak wówczas powszechnie u zachodnich sojuszników tendencji *appeasement*, dążącej do pozyskania współpracy Rosji poprzez coraz dalsze ustępstwa na rzecz sowieckiej koncepcji politycznej w Europie. Rosja sięgnęła jednak jeszcze dalej: przy tworzeniu „rządu tymczasowego” nie został uszanowany nawet układ jałtański. Dla pozoru dopuszczono paru polityków nie-komunistycznych, ale nie przyznano im prawa wpływania na rządy. W istocie skład „rządu tymczasowego” był całkowitym zwycięstwem rosyjskiej interpretacji Jałty, dziś już coraz częściej ocenianej w Ameryce i Anglii jako porażka polityczna Zachodu.

Po utworzeniu „rządu tymczasowego” ukrócano stanowczo wszelkie próby zajęcia samodzielnego stanowiska politycznego, nie cofając się przed terrorem w stosunku do bardziej czynnych działaczy. Pozór demokratyczności, jakiego udzieliło PSL przez swoje wejście w skład „rządu”, nie starczył na długo, zdarły go mordercy polityczne, dziś zaś słychać już wyraźne pogłoski pod adresem czołowych polityków PSL.

Nie więc dziwnego, że wiadomość o zastrzeżeniu się w Polsce konfliktów pomiędzy PSL a zwolennikami wspólnej listy wyborczej przyjęta została w Londynie „bez zdziwienia” — jak stwierdził londyński korespondent „New York Times”. Obrót bowiem, jaki przybrała sytuacja przedwyborcza w Kraju, wpływa logicznie z całej dotychczasowej postawy administracji warszawskiej, i jest tylko dalszym ogniwem w łańcuchu wydarzeń, świadczących, że rozbieżność między praktyką a teorią hasła o „demokratycznej, ludowej Polsce” staje się coraz szersza.

Świat demokratyczny zaczyna zbierać już gorzkie owoce długotrwałego okresu polityki ustępstw, na której próbował zagrać St. Mikołajczyk. Jeżeli dziś w ten czy inny sposób przegra on w obecnym konflikcie, nie będzie ani pierwszym, ani jedynym. Sowiety zapewne nie powtórzą w Polsce swego „błędu” z wyborami na Węgrzech, historia zaś układu Subasicz-Tito jest pouczającym precedensem. Szanse wyborcze PSL leżą nie w głosach wyborców, ale w polityce mocarstw zachodnich, jeżeli te — zgodnie z zapowiedziami Byrnesa i ostrzeżeniami Churchilla — zdecydują się zażądać od Rosji przywrócenia wolności narodom „wyzwolonym”. Londyn jednak ogląda się na Waszyngton, Ameryka zaś nie dojrzała jeszcze do zajęcia zdecydowanego stanowiska w sprawach Europy Środkowej.

Toteż, jak słusznie powiedział gen. Anders przedstawicielowi „New York Times” — „klucz sytuacji nie leży w Warszawie, lecz w Moskwie”. Losy wyborów w Polsce nie spoczywają w rękach PSL, a rozgrywka między tym stronnictwem i komunistycznym blokiem rządowym jest tylko fragmentem ogólnej rozgrywki, której stawką jest los całego szeregu państw Europy Wschodniej. W tych warunkach decyzja PSL odrzucenia oferty bloku komunistycznego była niewątpliwie decyzją odważną, a jej wykonanie wymagać będzie jeszcze więcej odwagi i determinacji, wobec stałych gróźb terroru. Pozostaje kwestia, czy władze stronnictwa sprorządzą tak trudnemu zadaniu.

Na Zachodzie coraz mniej jest złudzeń na temat „demokracji” w Polsce i dobrej woli administracji warszawskiej. Chodzi o to, czy w ślad za uświadomieniem sobie prawdy sytuacji pójdą czyny, tak jak tego domagają się już dziś od swego rządu trzeźwe odłamy opinii brytyjskiej, żądające wysłania komisji obserwatorów na okres wyborczy, bądź też cofnięcia uznania „rządowi tymczasowemu”, gdyby przy pomocy terroru usiłował on wybory w Polsce uniemożliwić.

Wszelkie wybory w Polsce, przeprowadzane systemem jugosłowiańskim, tj. na zasadzie jednej listy wyborczej, byłyby nie tylko „farsą” — jak to określili posłowie do parlamentu angielskiego, nie tylko gorzkim rozczarowaniem dla społeczeństwa, które według relacji prasy zagranicznej chciałoby widzieć w wyborach ostatnią bodaj nadzieję na wydobycie się spod narzuconego jarzma, ale i jeszcze jedną tragiczną przegrana Zachodu, jeszcze jednym cofnięciem się linii demokratycznego frontu wobec naporu nowej formy tyranii, nowej reakcji, narzucającej ze Wschodu Europie, em.

DWA RAZY MISSOURI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

NA interpelację wniesioną w Senacie, dlaczego nie został rozwiązany wspólny sztab brytyjsko-amerykański, rząd Stanów Zjednoczonych lapidarnie odpowiedział: „Wojna już się wprawdzie skończyła, ale pokój jeszcze nie został zawarty!”

Wyjaśnienie to wymaga pewnego uzupełnienia. Wojna istotnie skończyła się z Niemcami i z Japonią, ale z kim ma być zawarty pokój? Jest rzeczą normalną, iż pokój zawiera się z przeciwnikiem i nawet normalną, że zwycięzca klęka się o łup. Tak było w Wiedniu w roku 1815 i tak było w Paryżu w roku 1919... Ale w roku 1946 dwa anglosaskie mocarstwa koalicji antyniemiecko-japońskiej w zasadzie nie wzięły zdobywczy wojennej, nie anektowały ani jednego terytorium, nie stworzyły ani jednego zaprzyjaźnionego rządu. Na tej wojnie uległ „wzbogaceni się” tylko Związek Sowiecki pod pięknymi hasłami demokracji, bezpieczeństwa i miłości pokoju.

Konflikt interesów anglosaskich z sowieckimi, jaki zarysował się w Teheranie, a skrytykował się w Jalcie — zaostroża się z tygodnia na tydzień, jeśli już nie z dnia na dzień. W obrębie tego konfliktu znajduje się już dziś cały świat. Nie ma zagadnienia, które by tak czy inaczej nie było z nim związane. Persja i Turcja, Mandżuria i Grecja, Bornholm i Triest, afera szpiegowska w Kanadzie i tajemnicze pożary na wielkich statkach angielskich, zajścia w Egipcie i bunt marynarzy hinduskich w Bombaju, wybory w Bułgarii i reżim gen. Franco, widmo głodu i tragedii uchodźców — wszystko są to problemy, które Kreml bądź stwarza, bądź prowokuje, bądź inspirowa.

Marsz wojsk sowieckich na Teheran, koncentracje czołgów sowieckich na granicy tureckoperskiej, przedłużająca się okupacja sowiecka Mandżurii i wyspy Bornholm na zachodnim Bałtyku, są uderzeniami na pozycje brytyjskie z zewnątrz. Od wewnątrz zaś propaganda sowiecka usiłuje podminować całe Imperium. Jeśli w Bombaju i Kairze niedawno połała się krew, a w portach brytyjskich stwierdzono liczne wypadki sabotażu, to zapewne nie dzieje się to drogą zwykłego przypadku. A gdy czasem uda się tę zbrodniczą rękę przychwycić, jak to było w Kanadzie, wówczas Kreml atakuje gwałtownie rząd kraju — w którym „prywatni agenci” sowieccy starali się dowiedzieć, czy amerykański model bomby atomowej nie wyszedł czasem z mody — że „zdradził demokrację”, tępi związki zawodowe i że współpracował z Hitlerem w okresie Monachium! Stąd płynnie prosty wniosek, iż kto kradnie bombę atomową, ten jest demokratą, a kto nie — ten jest faszystą. Oto jak wygląda dialektyka totalizmu w epoce atomu.

Przegląd wydawnictw

— Tygodnik Obozowy A.P.W., ukazujący się dotychczas w formie odbitki z powielacza, przekształcił się na 6-stronicowe pismo drukowane w Jeruzolimie. Tygodnik Obozowy A.P.W. powstał w Palestynie, gdy „Orzeł Biały” i „Dziennik Żołnierza A.P.W.” odeszły do Włoch razem z 2 Korpusem. W ciągu dwuletniej pracy, mimo swej skromnej formy zewnętrznej, Tygodnik zdobył sobie uznanie jako pismo wyróżniające się samodzielną myślą polityczną i rzetelną publicystyką. „Pilsudski mówił” — czytamy we wstępnym artykule redakcyjnym pierwszego numeru ukazującego się w nowej szacie zewnętrznej — że Polska tworzy się w chaosie, ale rzecz w tym, ażeby wśród chaosu umieć zachować busole orientacyjną polskiej polityki niepodległościowej. To ostatnie było zawsze pojmowane jako główne zadanie publicystyczne przez redakcję Tyg. Ob. A.P.W. Było by pożądaną, aby Tygodnik Obozowy mógł w dalszym rozwoju zwiększyć swój format, włączając do współpracy liczniejsze pióra, tym bardziej że na naszym terenie wyraźnie odczuwano się brak aktualnego czasopisma politycznego.

— Pismo P.P.S. W Jeruzolimie ukazał się pierwszy numer miesięcznika „Wolność”, wydanego przez organizację P.P.S. na Środk. Wschodzie. Numer przynosi m. in. artykuł K. Jaroszewskiego „Demokratyzm na jarmarku światowym”, A. Pajaka — „P.P.S. w walce o niepodległość Polski”, wspomnienia Z. Wasserbergerowej, uwagi Dr. K. Lewińskiego o „Roli kobiety-Polki w odrodzeniu Państwa”, wiersz A. Krakowieckiego, obfita kronikę oraz fotografie socjalistycznej prasy podziemnej w Polsce.

P.P.S. na Środk. Wschodzie nie posiadała swego organu prasowego, co stanowiło dotkliwą lukę w naszej publicystyce politycznej na tym terenie. Pierwszy numer „Wolności” zapelniał prace członków P.P.S., ale w przyszłości miesięcznik ten mógłby stać się pismem skupiającym ludzi, dla których ideał Polski Niepodległej zrosnięty jest z hasłem radykalnej reformy społecznej i pamięcią o pięknych tradycjach polskiej tolerancji.

— „Ochotniczka”. Nowy numer „Ochotniczki” (Nr. 2—29) przynosi interesujący artykuł wstępnego Herling-Grudzińskiego, przegląd polityczny, wspomnienia z życia podziemnego, sylwetkę pięknej postaci p. Jadwigi Kowalczykówny, charakterystyczne uwagi J. Zagórskiej o „Urodzie życia” („Czytaj po raz pierwszy”).

— „Tygodnik Polski” w dwóch ostatnich numerach, jakie dotarły do Palestyny, drukuje m. in. opowieść Jerzego Andrzejewskiego p. t. „Przed sądem”. Jerzy Andrzejewski, laureat Nagrody Młodych Pol. Akad. Literatury, autor „Ładu serca”, ukończył obecnie powieść z czasów okupacji niemieckiej. W nr. 4 (161) zwraca również uwagę artykuł informacyjny L. Bergera o wpływach sowieckich na Śr. Wschodu. Rosja, w swej propagandzie dążącej do stworzenia możliwie największej ilości antagonizmów na terenie Śr. Wschodu, sięgnęła nawet ku herezjom z pierwszych wieków chrześcijaństwa i popiera obecnie kościoły monofizytów, do których m. in. należą kościoły koptyjski (Abisynia i gminy koptyjskie w Egipcie).

— „Krzyże i Miecze”. Pod powyższym tytułem ukazał się nowy tom wierszy Wierzyńskiego, wydany nakładem „Biblioteki Tygodnika Polskiego”. Zbiór ten obejmuje wiersze poety pisane w latach 1942—45. Będzie to ósma książka Wierzyńskiego napisana od początku wojny.

W takim to klimacie politycznym Winston Churchill wygłosił swe głośne już przemówienie w mieście Fulton w stanie Missouri. Wiemy, iż Churchill zaproponował w nim nie tylko jak najdalej idącą współpracę obydwóch mocarstw anglosaskich, a nawet ustanowienie wspólnego obywatelstwa. Jeśli ta część mowy była przyjęta przez opinię amerykańską raczej chłodno, to bardzo gorący oddźwięk znalazły ustępy, w których Churchill zaatakował agresywność Sowietów, ich próby rozsądzania nie podległego im jeszcze świata przez „piątą kolumnę”, ich marionetkowe państwa policyjne, przede wszystkim zaś ideologię sprzeczną z fundamentalnymi zasadami chrześcijańskiej kultury Zachodu. Wprawdzie rząd brytyjski ogłosił, iż mowy tej nie znał przed jej wygłoszeniem i Churchill przemawiał tylko jako człowiek prywatny, to jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż mowę znał prez. Truman i bynajmniej nie sprzeciwił się jej wygłoszeniu w swoich stronach rodzinnych. Poza tym zaś należy stwierdzić, iż „człowiek prywatny” Winston Churchill wszedł do historii Anglii jako jeden z jej największych mężów stanu.

Późniejsze posunięcia rządu Stanów Zjednoczonych dają powody do przypuszczeń, iż mowa Churchilla potrzebna była prezydentowi Trumanowi dla poruszenia opinii amerykańskiej i zwrócenia jej uwagi, iż polityka sowiecka zagraża pokojowi świata. Jeśli ostatnie noty amerykańskie do Moskwy pod względem ostrości są *novum* w na ogół tradycyjnie dobrych stosunkach amerykańsko-rosyjskich, to wysłanie pancernika „Missouri” na wody tureckie — jest już istną bombą polityczną. Dotychczas bowiem w Stanach Zjednoczonych nie było takiego precedensu — nigdy jeszcze nie demonstrowały one militarnie na wodach europejskich. Przemówienie Churchilla w Missouri przygotowało opinię amerykańską do wysłania „Missouri” na wody dardaneelskie. Rosjanie, którym imponuje tylko siła, być może wyciągną z tej akcji amerykańskiej w rejonie odległym od brzegów U.S.A. o 4 tysiące kilometrów odpowiednie wnioski. W roku 1941 Hitler sprawił, iż granice Stanów Zjednoczonych znalazły się nad kanałem La Manche. W roku 1946 — dzięki Stalinowi — znajdują się one już nad Bosforem.

Stany Zjednoczone nie mają z ZSSR układu politycznego. Ich współpraca trwała tylko w okresie wojny. Inny jest stosunek Moskwy do Londynu. Rosja i Wielka Brytania są ze sobą związane sojuszem wojskowym i traktatem o wzajemnej przyjaźni na 20 lat. Właśnie na tym polega niezwykłość sytuacji politycznej, iż Kreml uderza ze wszystkich stron na tego swego jedynego sojusznika, który jednocześnie nie jest jego wasalem. Wielka Brytania uczyniła wszystko, co w jej mocy, aby dojść do porozumienia z Kremlm. Zaoferowała nawet przedłużenie sojuszu o lat trzydzieści. Jednakże ręka brytyjska wyciągnięta do zgody natrafiła w Moskwie na próżnię.

Czemu tak się dzieje? Czemu Stalin w roku 1946 postępuje tak, jak Mussolini w roku 1940: nie precyzuje nawet warunków, na jakich gotów byłby odprężyć sytuację. Wszak ster rządów Imperium brytyjskiego dostał się w ręce partii, której nikt nie może posadzać o tendencje antysowieckie i wszak w r. 1920 nikt inny tylko minister Bevin, jako przywódca robotników transportowych, wstrzymywał w portach angielskich okręty z bronią i amunicją dla walczącej bohatercko a samotnie o swe istnienie — Polski.

Czemu przypisać, iż ani jeden konserwatywny minister spraw zagranicznych nie doczekał się tak ostrej oceny swej polityki, jak właśnie tenże minister Bevin. Czemu tuba Molotowa, tygodnik „Nowoje Wremia” pisze, iż „rząd Labour Party zawiódł demokratyczne narody świata”, „popiera elementy reakcyjne”, „udziela pomocy gen. Franco”, a w polityce zagranicznej „nie opiera się na tych siłach, które powinny być podwaliną demokracji...”. Czemu „Nowoje Wremia” stwierdza we wniosku ostatecznym, iż „od chwili, gdy rząd Labour Party doszedł do władzy, stosunki Wielkiej

Brytanii z Rosją niesłychanie się pogorszyły”. Czyżby dla Stalina i Molotowa sympatyczniejsi byli Churchill i Eden? Niewątpliwie — tak. I tu tkwi klucz zagadnienia. Stosunki brytyjsko-sowieckie właśnie dlatego zaostrożły się, iż w Londynie zasiada rząd Labour Party. Albowiem w chwili, gdy komunizm prowadzi ostrą ofensywę ideologiczną na całym świecie, premier z ramienia Labour Party na ulicy Downing Street 10 jest dla Moskwy osobistością niezwykle niewygodną, którą za wszelką cenę trzeba zdyskredytować.

Gdy w roku 1939 Hitler rozpoczął wojnę z Polską, Francją i Anglią — była to istotnie wojna ideologiczna, wojna narodów demokratycznych z brunatnym totalizmem. Gdy w roku 1941 Hitler ruszył na Rosję, trudno już było mówić o wojnie ideologicznej. Czymże bowiem oba ustroje różniły się od siebie? Chyba tylko tym, iż, jak ktoś dowcipnie zauważył, w Berlinie panuje narodowy socjalizm, a w Moskwie socjalizm narodowy... Późniejsza też koalicja demokracji zachodnich z totalistyczną Rosją bynajmniej nie miała charakteru ideologicznego, ale była wynikiem okoliczności i konieczności wojennych.

Dla Moskwy wrogiem Nr. 1 nie jest w rzeczywistości ani faszizm, ani konserwatyzm, ale socjalizm zachodnio-europejski, jej najgroźniejszy konkurent w zdobyciu wpływu na masy. W tej chwili toczy się wielka walka o rząd dusz na terenie całej Europy. Piąta kolumna komunistyczna usiłuje od wewnątrz rozszalać demokrację Zachodu. W jaki sposób może to uczynić? Przez zachwalanie „demokracji sowieckiej” i potępienie socjalizmu labourystów, którzy „współpracują” z reakcją i faszyzmem. Jeśli rząd Labour Party uzyska sukcesy w swej polityce zagranicznej, jeśli wyprowadzi Anglię z impasu powojennego, jeśli zyska zaufanie narodów kolonialnych — wtedy stanie się atrakcyjny dla Francji, dla Belgii, dla Włoch i dla Szwecji, dla Holandii i dla Danii, w których to krajach wpływy socjalistyczne do niedawna przeważające — podważa obecnie propaganda moskiewska. Jeśli Labour Party „wygra pokój”, wówczas tak bardzo wzbięrająca dziś fala komunizmu zacznie opadać w całej Europie; jeśli stanie się przeciwnie — ewolucyjny i humanitarny socjalizm angielski będzie skompromitowany i może pociągnąć za sobą w swym upadku inne partie socjalistyczne Zachodu.

Aby osłabić wpływy angielskie na świecie, Moskwa nie zawahała się nawet przed przekuciem na kapitał polityczny widma głodu, zagrażającego milionom ludzi w Europie i Azji.

Rosja opanowała wschodnie okręgi rolnicze Niemiec, podczas gdy strefy angielskie i amerykańskie Rzeszy są przemysłowe i obecnie znalazły się w obliczu klęski głodowej. Rosja rozmyślnie nie wypuszcza zboża ze wschodnich terenów Niemiec na zachodnie, aby spogotować tam nędzę i w ten sposób, przez wykazanie, że pod okupacją sowiecką jest lepiej niż pod anglosaską, pozyskiwać sympatię Niemców. Nie mniej ważnym krajem dla Rosji jest Francja, gdzie partia komunistyczna w ostatnich wyborach potroiła swe mandaty. Socjaliści i postępowi katolicy zbliżają się jako typ ugrupowania politycznego do Labour Party. Ale Labour Party nie może dostarczyć chleba, bo go nie ma dość w Anglii i Indii. A czyż Rosja ma dosyć zbóż? Oczywiście, również nie. Ale dla Rosji sprawy ideologiczne są ważniejsze od dobrobytu jej mieszkańców. Przed kilkoma dniami radio moskiewskie doniosło, że Związek Sowiecki, celem ulżenia sytuacji aprowizacyjnej Francji, ofiarował jej wiele milionów ton pszenicy i żyta. Podkreślić trzeba, iż za trzy miesiące odbędzie się we Francji nowe wybory. Zboże sowieckie, które jest w rzeczywistości zbożem polskim, węgierskim, rumuńskim i bułgarskim, stało się w ten sposób kłębą wyborczą francuskiego komunizmu. Jak się okazuje, w pewnych okolicznościach głód może stać się pierwszorzędnym artykułem na giełdzie politycznej.

I dlatego też, *właśnie ze względów ideologicznych* jest mało prawdopodobne, że może dojść do odprężenia stosunków brytyjsko-sowieckich. By-

łoby to bowiem wyrzeczenie się przez Kreml dy-namizmu własnej ideologii.

Jakież wyjście z tego ślepego zaułka?

W publicystyce światowej coraz częściej podnoszono ostatnio sprawę nowego spotkania Wielkiej Trójki. Oświadczenie prezydenta Trumana, iż w najbliższej przyszłości nie ma szans nowego spotkania, położyło kres dyskusjom na ten temat.

Rząd brytyjski pomimo wielu rozczarowań doznanych ze strony Rosji nadal trwa przy Organizacji Zjednoczonych Narodów i Radzie Bezpieczeństwa. Niektóre wpływowo koła w Labour Party nie straciły jeszcze wiary w możliwość dojścia do porozumienia z Rosją. Przypomnieć warto, iż te same koła do ostatniej chwili wierzyły zarówno w Ligę Narodów, w sankcje anti-włoskie, w zasadę „nieinterwencji” w Hiszpanii, wierzyły nawet, iż Hitler szantażuje, ale w istocie rzeczy nie dąży do wojny.

Cóż więc pozostaje? Rosja — jak to stwierdził Churchill — wierzy tylko w siłę. Zwarty blok amerykańsko-brytyjski jest potęgą znacznie górującą nad potencjałem gospodarczo-militarnym Rosji i jej wasalów. Premier Churchill nawoływał w Missourii do najściślejszej współpracy politycznej jako pierwszego etapu realizacji tego bloku. Ostatnie posunięcia amerykańskie świadczą, iż ta współpraca istnieje i jest bliższa, niż to się na pozór wydaje. Noty amerykańskie do Rosji w sprawie Persji i Mandżurii, podróż pancernika Missouri na Morze Śródziemne, utrzymywanie wspólnego sztabu amerykańsko-brytyjskiego i poparcie dla pożyczki angielskiej w USA, udzielone przez najwybitniejsze osobistości amerykańskie — oto wymowne dowody kooperacji Waszyngtonu z Londynem.

Anglosasi po serii uderzeń obuchem ze strony Rosji zaczynają powoli zdobywać się na inicjatywę. Gdy duch Missourii pokona smory Monachium, demokracje zachodnio-europejskie wygrają wojnę ideologiczną z moskiewskim komunizmem. Jeden z publicystów angielskich nazwał Churchilla — po ostatnim jego przemówieniu w Missourii — romantykiem. Zapomniał tylko dodać, iż ów „romantyk” głosił zwycięstwo w ponurych dniach Dunkierki i dzięki temu ocalał imperium brytyjskie. I jest to ten sam Churchill, którego Stalin przed kilku dniami nazwał jak gdyby „Hitlerem Nr. 2”, podżegaczem wojennym i anglosaskim rasistą.

Tak, jak sprawy dziś stoja, nie wygląda na to, aby Wielka Brytania i Stany Zjednoczone — po pokonaniu Rzeszy Niemieckiej i Japonii — miały możliwość zawarcia pokoju... ze Związkiem Sowieckim.

wp.

Straty kultury

— **Sp. Tadeusz Zieliński.** Podczas wojny zmarł w Warszawie prof. Tadeusz Zieliński, znakomity filolog, członek Pol. Akad. Literatury. Urodzony w r. 1859 na Kijowszczyźnie, studiował Zieliński filologię na uniwersytecie w Lipsku, wraz z Baudouinem de Courtenay i Petrażyckim pracował na uniwersytecie w Petersburgu, a w r. 1920, w odrodzonej Polsce objął katedrę filologii klasycznej na Uniwersytecie Warszawskim.

Podczas bombardowania Warszawy we Wrześniu spłonęło jego mieszkanie oraz bogata biblioteka, ofiarowana przed wojną seminarium filologii klasycznej. Zielińskiego, dotkniętego paraliżem nogi, przeniesiono do domu profesorskiego na ul. Brzozowej.

Spośród licznych dzieł Zielińskiego wymienić trzeba monografię komedii staroattycznej, znakomitą pracę o Cynceronie, monografię o Sofoklesie, studia religioznawcze, oraz wielotomowe dzieło popularne „Kultura antyczna”.

Prof. Zieliński wśród swych licznych tytułów naukowych posiadał doktorat honorowy Sorbony i Oxfordu, był też profesorem honorowym Uniwersytetu im. J. Pilsudskiego w Warszawie i obywatel honorowy Delf w Grecji, siedziby słynnej świątyni Apollina.

W zbiorze szkiców „In Polonia intre viata si morte”, wydanych w Bukareszcie w 1940 r. przez sławistkę dr. E. Dvoiceno, znajdujemy następujące wspomnienie o prof. Zielińskim z okresu 1939—1940.

„Odszukałam sędziwego profesora Tadeusza Zielińskiego, znanego na całym świecie filologa, który przeniósł się ze swego doszczętnie spalonego mieszkania w uniwersytecie do innego domu, gdzie dano mu mały pokój, pusty i z wybitymi szymbami. Leżał chory w łóżku, w palcie, w czapce futrzanej i w welnianych rękawiczkach, przykryty całym stosem ubrań. Kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się leciuchno i powiedział: „Widzi pani, w jakiej śmiesznej sytuacji mnie pani znajduje”. — „Śmiesznej?” Serce ścisnęło mi się z bólu. Przypomniało mi się jego wspaniałe wystąpienie w naszym uniwersytecie w Bukareszcie na parę miesięcy przed wojną, jego odczyty uczone i interesujące, wzbudzające powszechny zachwyt, jego gościnny dom, gdzie spędził wiele szczęśliwych chwil w ciepłej atmosferze szczerzej przyjaźni.

Wysoki, ze swą piękną białą brodą, leżał teraz jak posąg jakiegoś boga zalanego przez burzę...”

— **Sp. Feliks Nowowiejski.** W Poznaniu zmarł znany kompozytor polski, Feliks Nowowiejski, autor opery „Legenda Bałtyku”, oratorium „Powrót Syna Marnotrawnego”. Szerokim masom był znany jako autor muzyki do „Roty” Konopnickiej.

— **Zgon prof. Kutrzeby.** Prof. Stanisław Kutrzeba, wieloletni sekretarz generalny Polskiej Akademii Umiejętności, a od 1939 jej prezes, wiezień Orlanburga, zmarł dn. 8 stycznia br. w Krakowie. Sędziwy profesor brał, niestety, udział w upokarzających rozmowach moskiewskich, jakie odbywały się podczas procesu 16 przywódców Polski Podziemnej.

— **Śmierć autora książki „Kamienie na Szaniec”.** Tadeusz Kamiński (pseud. J. Górecki), harcmistrz, działacz Polski Podziemnej, jeden z najpóźniejszych ludzi Polski Podziemnej, znalazł w Polsce tajemniczą śmierć po jej „wyzwoleniu”.

— **Zgon T. Hiża.** W Krakowie zmarł w 62 roku życia Tadeusz Hiż, popularna postać literackiego i dziennikarskiego świata Warszawy, autor tomu „Talent, dziwactwo i coś jeszcze”.

RAPORT WARSZAWY

(Dokończenie ze strony piątej)

tości, dającą natchnienie mitowi o ludzkości zwróconej przeciw barbarzyństwu.

Odpowiedzialności za błąd, zawarty w Powstaniu, trzeba więc szukać nie w Powstaniu, ale poza nim — w ogólnych wiazadach polityki brytyjskiej podczas wojny, w ówczesnych kierowniczych sferach polskich w Londynie. Rząd polski, przebywający za granicą, mógł wprawdzie łatwiej dojrzeć węzeł intrygi, ale przeżywał właściwie podobny dramat jak Kraj, z tym, że nadchodzące niebezpieczeństwo rysowało mu się jeszcze wyraźniej. Ale obowiązkiem Kraju było być, gdy przyszedł rozkaz, obowiązkiem tamtych — przewidzieć. Obowiązkiem polskim — wspaniałości orla i dzielności lwa przydać trwale chytrąść węża.

Wstrząs Powstania przypomniał o naszym położeniu na rubieżach dwóch cywilizacji, rządzących się odmiennymi kryteriami. Ilekroć bowiem o tym zapominamy, i na Wschód, dzięki naszej wewnętrznej europejskości, patrzymy jak na dalszy ciąg Zachodu — przegrywamy.

Powstanie zostawia trwały ślad na psychice polskiej. Niejedno żelazo przemieniło się w stal, niejedna słabość w siłę, romantyzm w zdrowy realizm.

Sierpień i wrzesień 1944 roku nie były samą tylko klęską. Uchwałem ustrojowym, gospodarczym i socjalnym Rady Narodowej z sierpnia 1944 r. towarzyszy stopień wewnętrznej zjednoczenia, jakiego nie osiągnęliśmy w

latach Niepodległości. Walka Warszawy jest najbardziej bezklasowym powstaniem polskim w odróżnieniu od przeważnie szlacheckich powstań 1830, 48 i 63 roku, socjalistycznej rewolucji roku 1905. Zrozumienie potrzeby własnego państwa i suwerenności władania narodu zostało zanieśione do ostatniej miejskiej suteryny, do najgorszej wiejskiej biedy. Dzięki temu Powstanie zasypało przedziały, wyrosłe wskutek braku normalnego rozwoju społecznego w stuleciu niewoli, tak skutecznie, że do walczących szeregów zgłaszali się nawet komunizujący robotnicy spod znaku PPR-u, nie będąc zdolni w sercu Warszawiaka ścierpieć udzielonej im instrukcji zdrady: „nie brać udziału, czekać”.)

W skupieniu sił narodowych w przededniu nowego ciężkiego okresu tkwi kapitał polityczny Powstania. Ci, którzy tam walczyli i ci, którzy patrzyli na tę walkę, choćby z zamorskiej odległości, nie zrzekną się nigdy prawa do wolności politycznej i społecznej, do wnoszenia w europejską cywilizację wkładu podpisanego polskim imieniem i nazwiskiem. Zrosła się bowiem w nich w jedno spuścizna polskich ruchów rewolucyjnych z nakazem wolności i wielkości Pilsudskiego.

Po chwilach nadziei, miłości i rozpacz, tę myśl dyktują ostatnie karty szlachetnego pamiętnika gen. Bora.

Zdz. Broncel

3). Lech Grzybowski, dowódca 2. batalionu grupy „Chrobry”, opowiada o takich przypadkach na łamach „Orla Białego”. (Nr. 6 - 198).

Książka o Tobruku Z prasy wojskowej

WSPÓŁCZESNA proza wojenna wypowiedziała się najpełniej w reportażu, odtwarzając przeżywaną materialnie bezpośrednio w chronologicznym przebiegu wydarzeń. Realizm i autentyczność opisu przybiera bardzo różne formy — od suchego sprawozdania, aż do obrazu przedstawionego za pomocą literackich środków ekspresji. Mimo to istotną cechą reportażu pozostaje zawsze wiernie oddanie rzeczywistości nie przetworzonej w nową kombinację artystyczną. Ciekawą natomiast próbą przeniesienia w sferę literacką codziennych przeżyć żołnierzy Brygady Karpackiej jest książka Janusza Jasińczyka „Po Narwiku był Tobruk”.

Ujęcie materiału rozbitego na poszczególne opowiadania, opisy lub dialogi odbiega zasadniczo od reportażu, chociaż posługuje się autor również formą sprawozdawczą jako schematem konstrukcyjnym dla przedstawienia obrazu artystycznego bitwy („Wycieczka”). Tę różnicę między reportażem, a książką literacką „Po Narwiku był Tobruk”, uwydatni najlepiej porównanie jej ze zbiorem reportażów Tadeusza Zajackowskiego pt. „Od Ostrej Bramy do Osmej Armii”.

Założenie książki Jasińczyka jest artystyczne. Autor dąży do ogólnego wydobycia z przeżyć wojennych indywidualnych rysów człowieka, do wyodrębnienia z przebiegu wydarzeń charakterystycznych momentów i zjawisk po to, by w nowym układzie ukazać rozmaite przejawy, jakie złożyły się na ogólną atmosferę życia żołnierskiego pod Tobrukiem — jednego ognia z całego łańcucha wojny, w której żołnierz polski walczył na wszystkich frontach Europy. Musiał więc przeżywać materialnie zobiektywizować się w świadomości autora na tyle, by autor mógł go przetworzyć w nowy obraz.

Bezpośrednio przeżyć jest jednak tak świeża, że autor nie potrafi wyeliminować siebie z przeżywanego materiału; wprowadza więc siebie do książki jako jedną z postaci i daje wiele osobistych komentarzy, tak że książka sprawia miejscami wrażenie pamiętnika literackiego. Przeladowanie książki pierwiastkiem subiektywnym równoważy fakt, że obrazy odtwarzane z pasją uczestnika oddają rzeczywistość psychologiczną wojny.

Książka przedstawia niejako stadium laboratoryjnych prac autora; stąd zbyt schematowy i szablonowy, które autor dobiera dla wyrażenia w nich pewnej treści. Czyny to świadomie, jak wynika z jego wyznania w końcowym ustępie książki. „Uśmiałem w miarę możliwości technicznej dać obraz pełny naszego — jednak chyba dość ciekawego dla wszystkich — tobruckiego życia. Dlatego, z opracowanym z góry wykazem niezbędnych elementów, skakałem z tematu na temat, zabiegałem od tej i tamtej strony w poszukiwaniu właściwej formy najlepszego wyrazu...”

Cechą zasadniczą stylu autora jest opisowość wypływająca z analitycznego opracowania materiału. W ramach najszerzej pojętego realizmu opisuje autor zjawiska konkretne i stany psychiczne, traktując w temacie obydwa pierwiastki albo równoległe, albo przeplatając je wzajemnie.

„Wycieczka” jest oryginalnym utworem w zakresie kompozycji wielokierunkowej, skomplikowanej akcji bojowej. Moment wydania artylerii rozkazu strzelania jest błyskawicą oświetlającą całe pole działania. Przekazany telefonem rozkaz strzelania zmienia się w głos oficerów ogniowych; jako blysk, huk odpalenia i świst lecących pocisków dociera do oczu i uszu oddalonych od akcji obserwatorów, potem — poprzez wybuchy — przemienia się w rzucone wycieczce hasło szturmowe i w przekleństwo włoskich obrońców — by w końcu, po czterdziestu pięciu sekundach powrócić znowu na punkt obserwacyjny dowódców całosci i w formie lakonicznego stwierdzenia majora Sikorskiego: „szybko zaczęli” zwrócić rozmaitości akcji w jednoczesności wynikającej z planu. Ten krótki ustęp „Wycieczki” (str. 85) jest jej istotą, o której mówi Turno w przedmowie — „jest klamrą słów, blysków i dźwięków, spinającą wielokierunkowe i przebiegające w różnych miejscach wątki żywej, pełnej napięcia akcji.”

Wyrazistość opisów występuje dzięki kontrastowemu zestawieniu nastrojów wydarzeń. Właśnie marzenia do świata rzeczywistego nie tylko daje pełniejszy obraz przeżyć, lecz jednocześnie ukazuje, jak „ucieczka w fantazję” ratuje człowieka w ciężkich chwilach („Jutro będzie lepiej”, „Melodia kół”). W ustępie pt. „Dwanaście godzin” widzimy żołnierza czuwającego w nocy na placówce obserwacyjnej. Pod wpływem ostrego zmęczenia zaczyna się w jego świadomości granica między marzeniem a rzeczywistością. Natęczywie nasuwają się chaotyczne obrazy dawnych przeżyć, które jak we śnie kojarzą się dowolnie i tylko pocucie odpowiedzialności zmusza go do przewyżczenia senności, aż do czasu gdy skończy się służba. Właściwy efekt uzyskuje tu autor nie tylko przez przeciwstawienie świata fantazji i rzeczywistości, lecz także przez potęgowanie nastrojów. Zamalowanie do kontrastów przejawia się w książce w pewnej sensacyjności, która polega na nagłym odwróceniu sytuacji lub wprowadzeniu do opowiadania niespodziewanego nowego momentu.

*) Janusz Jasińczyk: „Po Narwiku był Tobruk”. Przedmowa W. Turno, okładka według projektu Janiny Wolf-Boguckiej. Str. 188. Nakładem Sekcji Wydawniczej Jednostek Wojska na Środk. Wschodzie. Jerozolim, 1946.

— Zgon Adama Didura. W Katowicach zmarł w 71 roku życia znakomity bas polski, Adam Didur. Był on przez szereg lat pierwszym basem słynnej Metropolitan Opera w N. Jorku. Didur miał za sobą wielką karierę międzynarodową, występy w mediolańskiej La Scala, w stolicach Europy i operach amerykańskich. W N. Jorku po raz pierwszy śpiewał w „Borysie Godunowie” — dyrygował wówczas Toscanini, a partnerami Didura byli m. in.: Enrico Caruso i Geraldina Ferrari. Po tryumfach za granicą wrócił do niepodległej Polski, gdzie występował w Operze Warszawskiej, będąc też przez pewien czas jej dyrektorem.

— Jubileusz Solskiego. Ludwik Solski, aktor i człowiek o ścią niepożytych siłach, nestor sceny polskiej, obchodził w Warszawie jubileusz niebyle jaki, bo 70-letniej pracy sceniczej.

— Teatr Polski w Warszawie został otwarty w dn. 17 stycznia premierą — jak już donosiliśmy — „Lilli Wenedy”. Obecnie nadeszły szczegóły obsady: reżyserował Juliusz Osterwa, Lillę Wenedę grała Elżbieta Barszczewska, Rozę Wenedę — Seweryna Bronisłówna, Derwidę — Gustaw Buśmański, Ślazę — Juliusz Osterwa.

Typowym tego przykładem jest „Grób Nieznanego Żołnierza” i „Szczury”.

Założenie książki Tadeusza Zajackowskiego „Od Ostrej Bramy do Osmej Armii” jest historyczne. W zbiorze reportażów odtwarza autor dzieje Kresowej Dywizji Piechoty od momentu klęski w roku 1939 poprzez więzienie w Rosji, organizowanie Armii Polskiej, aż do walk we Włoszech. Autor w liniach syntetycznych kreśli najważniejsze etapy przebiegu wydarzeń składających się na tę osobliwą historię wojska polskiego na uchodźstwie, kształtowaną własnym wysiłkiem, płynącym ze świadomości i moralnej postawy żołnierza. Opisy marszu żołnierskiego do Polski ujęte są sprawozdawczo, często w formie obrazów literackich, przepojone pierwiastkiem lirycznym i refleksyjnym. W przedmowie pisze Zajackowski: „Większość reportażu była pisana na gorąco w czasie akcji, którym mogłem się przyglądać bezpośrednio; reszta została dopisana później z myślą o stworzeniu pewnej ciągłości obrazu przebiegu żołnierza, który przeżył tak długą i niełatwą drogę zanim od Ostrej Bramy i Kresów Wschodnich do bojów Osmej Armii na ziemi włoskiej dotarł.”

Tematy obu książek są podobne, różne jest natomiast ujęcie, jak i różne cele autorów. Książkę Jasińczyka można by zaliczyć do literatury przygód. Temat wytyczają trzy zasadnicze linie: kraj — pustynia, z którą pierwszy raz spotyka się człowiek; ludzie — środowisko żołnierskie; wojna — akcja i chwile spokoju. Autor odczuwa pustynię przez kontrast z nawykami człowieka z miasta. Zetknięcie się z prymitywnymi warunkami daje mu nowe poznanie świata („Water”, „Jutro będzie lepiej”). Zbliżają go do niej „małe dzieci pustyni” — zwierzęta, które opisuje z całą naiwnością. Głównym jednak tematem książki jest środowisko żołnierskie. Zjawiają się przed nami ludzie żywi i jesteśmy pewni, że tak było naprawdę pod Tobrukiem. Gromada zebrana przypadkowo z różnych środowisk i o różnych poziomach kulturalnych żywa się i zespala w grupę ludzi związanych przyjaźnią. Jasińczyk ukazuje tu, jak instynkt zbiorowy ratuje jednostkę w chwili niebezpieczeństwa, stwarza nowe ramy życia i ocala wartości indywidualne.

„Po Narwiku był Tobruk” jest książką ciekawą i wartościową, chociaż pod względem artystycznym niejednorodną. Jest pozycją przede wszystkim dlatego, że bohaterowie wojny stają się w niej postaciami literackiego utworu.

Janina Pilatowa

„ORZEŁ BIAŁY”, tygodnik 2 Korpusu, wydawany we Włoszech, pismo od dawna już redagowane bardzo starannie i interesująco, staje się coraz bardziej reprezentacyjnym czasopiśmie społeczeństwa polskiego, zmuszonego przez warunki polityczne do przebywania poza granicami Kraju. Składa się na to przede wszystkim stały rozrost środowiska polskiego we Włoszech, do którego ściągają pisarze i uczeni ocaleni z obozów niemieckich, istnienie dynamicznego młodego środowiska intelektualnego w 2 Korpusie, wreszcie duży rynek wydawniczy, jaki powstał we Włoszech wskutek obecności oddziałów wojskowych i licznego uchodźstwa cywilnego. Dzięki tym czynnikom „Orzeł Biały” posiada większe możliwości czytelnicze niż „W Drodze” i większe możliwości autorskie niż „Tygodnik Polski”. Obydwie szanse umie wykorzystać niewątpliwie utalentowana redakcja, chętnie udzielając miejsca tendencjom dominującym dziś wśród młodszych pokoleń: postępowemu kierunkowi narodowemu i odradzającemu się socjalizmowi polskiemu, który ze zdecydowanym stanowiskiem niepodległościowym łączy samodzielność myśli społecznej, wysubodządzając się z niewolniczego kręgu ortodoksyjnego marksizmu.

Ostatnie trzy numery „Orla” (3, 10, 17 lutego), jakie otrzymaliśmy przed oddaniem bieżącego numeru „W Drodze” do druku, przyniosą zbyt wiele interesującego materiału, by wszystko można wymienić, o wszystkim poinformować.

Tym niemniej należy wspomnieć o reportażach W. Wóhnta z procesu norymberskiego, a wśród artykułów politycznych wysunąć na czoło rozważania Arpa pt. „Czy Jalta jeszcze obowiązuje?” Redaktor „Orla”, podkreślając odrzucenie Jalty przez rząd polski i społeczeństwo polskie, zwraca jednak uwagę, iż postanowienie układu jaltańskiego są systematycznie gwałcone przez Rosję w stosunku do Europy Środkowej, szczególnie zaś — Polski. Nadchodzące wybory w Polsce są już niejako ostatnim sprawdzianem, czy cokolwiek pozostało jeszcze z układu zawartego w Jalcie. Jak dotąd, przeprowadzenie procesu 16-u, zwycięstwo sowieckiej formuły w sprawie składu „rządu tymczasowego”, terror policyjny w Polsce, oświadczenie wicemin. Modzelewskiego, iż „Polacy inaczej pojmują demokrację, niż Zachód” — wszystko wskazuje, że Jalta stała się jednym więcej świstkiem papieru.

Opinia polska nie ma złudzenia, by wybory mogły w skuteczny sposób zmienić sytuację Kra-

ju, ale brak protestu pozostałych sygnatariuszy Jalty przeciw najpierw rocznemu odkładaniu wyborów, a następnie przeprowadzaniu ich w atmosferze terroru, bez kontroli Zachodu, przy narzuceniu jednej wspólnej listy — byłby ostatnim aktem oddania Polski i Polaków w niewolę sowiecką. „Rząd tymczasowy”, nie mając podstawy legalnej — podkreśla autor artykułu — uzyskał na Zachodzie jedynie uznanie *de facto*, dopiero rząd powołany na podstawie wyborów mógłby się kusić o uzyskanie uznania *de jure*.

Nasuwa logiczny wniosek, iż w razie bądź odłożenia wyborów, bądź niespełnienia przewidzianych warunków, zachodni sygnatariusze Jalty, dziś już zapewne rozumiejący swój błąd, właśnie zgodnie z podpisaniem przez nich układem winni cofnąć uznanie „*de facto*”, udzielone administracji warszawskiej.

Wśród materiału literackiego zamieszczonego w ostatnich numerach „Orla” pierwsze miejsce zajmują świetnie napisane wspomnienia S. Kuszelewskiej „Kobiety w Polsce”. Każda z zamieszczonych tam sylwetek postaci kołobieżnych — nowela skondensowana do kilkunastu wierszy, rzucona na papier z oszczędnością pisarskiego efektu i równocześnie z całą siłą rasowego pióra.

Interesujące informacje o składzie społecznym uczestników Powstania Warszawskiego podaje relacja L. Grzybowski „Mój batalion”. Autor dowodził w Powstaniu 2 batalionem grupy „Chrobry II”. Bywały dni, że batalion tracił w walce do 60 procent stanu, mimo to nie oddawał pozycji i — następnego dnia wzmacniał stan ochotnikami. Wśród nich był najmłodszy żołnierz batalionu — 11-letni Wojtek Zaleski, walczący w... plutonie szturmowym. W beznadziejnej sytuacji potrafił cało wyprowadzić oddział oddział. Najstarsi przekraczali sześćdziesiątkę i nieraz sędziwy profesor pełnił obowiązki amunicyjnego przy kilkunastoletnim celowniku.

„Miałem w batalionie — pisze L. Grzybowski — 10 narodowości: Polaków, Żydów, Rosjan, Ukraińców, Gruzinów, Górali, Kaukaskich, Ormian, Hiszpanów i jednego Francuza”. Hiszpanie, choć mogli ocalić się jako cudzoziemcy, walczyli do ostatniego dnia Powstania. Rosjanie — jeńcy, wszyscy uwolnieni przez A.K. — poprosili o przyjęcie do Armii polskiej. Tak samo postąpił kpt. Buzunow, dowódca batalionu z obrony Stalingradu, który przypadkowo znalazł się, po wyjściu z niemieckiego szpitala, na terenie objętym wybuchem polskiej insurekcji. Gdy do Warszawy przybyli dwaj oficerowie łącznikowi marsz. Rokossowskiego, „złożył zaadresowany do nich meldunek — drogą służbową przez Dowódcę batalionu A.K. — zawiadamiający, że obecnie jest żołnierzem II Baonu grupy „Chrobry”. „Kpt. Buzunow pozostał na linii walki do końca Powstania. Obok niego walczył młody hr. Plater — obok Platara bili się członkowie PPR-u, którym polskie sumienia nie pozwoliły usłuchać partyjnej instrukcji nakazującej: „wstrzymać się od udziału w Powstaniu, czekać”.

Wśród publicystyki politycznej zwraca uwagę doskonały artykuł Stefani Zahorskiej: „Szóstą kolumnę”. Znana pisarka, rozpoczynając od analizy książek Köstlera i Dallina, dochodzi do sformułowania, że socjalizm zaszczepiony na terenie eurazjatyckim musiał nieuchronnie wytworzyć formę despotycznego władania państwa i odbyć drogę — poprzez pierwsze dni uniesień rewolucji — do powrotu najgorszej, najokrutniejszej reakcji. Rzeczywistość rosyjska stała się „skrajnie pravicową”, na Zachodzie jednak pozostał wśród lewicy mętlik rewolucji rosyjskiej, mętlik pierwszego państwa realizującego socjalizm. Męt ten został skompromitowany przez imperializm sowiecki, przez stalinowskie czystki. Są jednak ludzie, którzy dziś stwarzają renesans tego mitu, wierząc, że Sowiet, za cenę zresztą cierpienia i zbrodni, realizują w Europie konieczność historyczną: socjalizm. „Gesta Dei” w rosyjskim wykonaniu. Fatalizm tej wiary w sowiecki męt przypomina bezwład, z jakim Rzym oczekiwał najścia barbarzyńców i stanowi niejako „szóstą kolumnę” wśród socjalizmu europejskiego, który usiłuje budować nową Europę, Europę wolności, przeciwstawioną eurazjatyckiemu totalizmowi.

Jako artykuł dyskusyjny zamieszcza „Orzeł” projekty gospodarcze W. Zaleskiego pt. „Ustrój władania państwa”. Autor dla swego kooperacjonizmu społecznego i nacjonalizmu politycznego znajduje oparcie filozoficzne w kierunku myśli katolickiej: uniwersalizmu.

Przyjmując, w konsekwencji uniwersalizmu, zasadę własności prywatnej, jako najnaturalniejszą, najuczciwszą formę korzystania człowieka z dóbr materialnych danych mu pod postacią przyrody przez Boga, autor odrzuca jednak, jako przestarzałą i niemożliwą do uzgodnienia z postępem techniki, koncepcję ustroju gospodarczego opartą na indywidualnej własności matych warsztatów pracy. Szukając na jej miejsce innej formy gospodarczej, Zaleski projektuje w przyszłej Polsce oddawanie tytułu własności wielkich fabryk, opuszczonych przez właścicieli, zespołom pracowniczym. Taki kolektyw nie byłby jednak tylko użytkownikiem własności państwowej, lecz jako spółdzielnia posiadałby istotnie swój warsztat pracy na własność. Udziały pracowników byłyby różne, zależnie od wysokości zarobku i lat pracy.

Pomysł Zaleskiego, wypływający z poglądów tzw. Konfederacji Narodowej w polskim ruchu podziemnym, zastosowany praktycznie, dałby się użyć w średnich przedsiębiorstwach, w wielkich natomiast oddałby władzę w ręce zespołu dyrektorów. Uznawana przez autora zasada dziedziczenia majątku również szybko zwichnęłaby równowagę ustroju, w którym własność miałaby się harmonijnie łączyć z pracą.

Istotne znaczenie artykułu leży w tym, iż podobnie jak socjaliści młodsze grupy kierunku narodowego przeciwstawiają się zarówno kapitalizmowi jak i komunistycznemu totalizmowi gospodarczemu. Projekt „ustroju państwa” Zaleskiego narodził się z próby rozwiązania zasadniczego współczesnego zagadnienia społeczno-gospodarczego, z próby dania odpowiedzi na pytania: jak pogodzić planowanie z wolnością jednostki, jak pogodzić przewyższenie kapitalizmu z zachowaniem wydajności „pracy na własnym”, jak zachować wolność i znaczenie jednostki w ustroju socjalistycznym.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Jerusalem, Hassolel Street, No. 9.
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

Wytrwałość Stalina

(Dokończenie ze strony drugiej)

rozszerzaniu i umacnianiu sfery sowieckiego socjalizmu scentralizowanego w Moskwie. Na zewnątrz objawy mogą wydawać się te same, ale ich cele i duch są całkowicie różne od dawnego wzoru. Imperialista starego typu zadowoliliby się rozszerzeniem rosyjskiej sfery wpływów bez względu na ustroje polityczne i gospodarcze opanowywanych terenów. Stalin natomiast, jako wyznawca światowej rewolucji, dąży w ostatecznym celu do zsowietyzowania tych obszarów i do związania ich politycznie i gospodarczo z resztą Związku Sowieckiego. Mówiąc krótko, imperializm Stalina jest dostatecznie realistyczny, tym niemniej jest imperializmem rewolucyjnego typu.

Nie można również wyobrazić sobie, by Stalin mógł stanąć na czele Rosji odbudowywanej na podstawie politycznej wolności.

Jak dotąd, nie widać najmniejszego nawet zelenia sztywnego i bezlitosnego systemu stalinowskich rządów. Rządy monopartii są dziś pełniejsze, niż kiedykolwiek przedtem, ucisk tajnej policji jeszcze bardziej powściągnięty i bezwzględny. Nowy plan pięcioletni, tak jak i poprzednie, ma na względzie przede wszystkim ciężki przemysł, wysuwając na czoło przemysły wojenne i program morski, jako najważniejsze czynniki planu. Oznacza to ostateczną decyzję dalszego pomijania potrzeb „szarego człowieka” i jest samo przez się dowodem kontynuowania twardych rygorów policyjnych dla wymuszenia na ludności nowych poświęceń.

Nie ma dosłownie niczego w całym życiu Stalina. W jego czynach i słowach, co by mógł dawać podstawę dla optymistycznych nadziei, że Stalin pod naciskiem społeczeństwa może stać się przywódcą typu demokratycznego. Właśnie pasja antydemokratyczna jest prawdopodobnie najbardziej wyrazistym rysem jego oblicza politycznego. Inni działacze sowieccy czuli potrzebę tłumaczenia się i skądania różnych przyrzeczeń, gdy ograniczali lub znosili wolności polityczne. Inni — tak, ale nie Stalin.

Dla Stalina świat znajduje się w przedłużającym się przejściowym okresie na drodze do socjalizmu. Stalin jest wśród tego Mojżeszem, wyprowadzającym swój lud z

egipskiej niewoli do Ziemi Obiecanej — wielu musi zginąć w drodze, a wszyscy muszą cierpieć — zanim cel będzie osiągnięty. Ta wiara, przyjęta poważnie, jest nie do pogodzenia z ograniczeniami na rzecz demokracji. Zdaje się ona usprawiedliwiać wobec Stalina wszelkie pociągane za sobą ofiary, a w ich liczbie także i śmierć milionów ludzi, pracę niewolniczą na olbrzymią skalę i ciężką dolę całej ludności.

W oczach Stalina demokracja jest tylko inną nazwą słabości i niedoświadczenia. Automatycznie łączy ją z przymiotnikiem „zdegenerowania”. Angielskimi działaczami Partii Pracy i francuskimi czy amerykańskimi socjalistami pogardza bardziej niż wyraźnymi kapitalistami. Ciągłe wyraża i wyraża przekonywanie, że „likwidacja” tego rodzaju ludzi musi poprzedzić zapanowanie komunizmu.

Rosja jest brzemienne wielkimi wydarzeniami; co do tego nie może być wątpliwości. Nie ma rasy lub państwa, które mogłyby przeżyć rosyjskie doświadczenia w tej wojnie — niebawomych cierpień i strat, nowego poczucia państwowej siły, zetknięcia się z obcą cywilizacją w wyzwolonych i zdobytych krajach Europy — bez doznania głębokiego wstrząsu. Jest natomiast kwestią przyszłości, czy stan ten doprowadzi do odrodzenia. Sowiecki system policyjny jest przecież nieskończenie rozleglejszy i silniejszy, o wiele skuteczniejszy i bardziej bezlitosny niż system carski.

Gdyby jednak miało dojść do wydarzeń, sprzecznych z tradycją stalinizmu, Stalin z pewnością nie dostosuje się do nich — po prostu dlatego, że nie jest do tego zdolny. Aż do końca będzie z nimi zaciekle walczył. Były pogłoski o chorobie Stalina i nawet o jego śmierci. Bez względu jednak na to, czy będzie żył długo, czy krótko, czy umrze na Kremlu, w więzieniu czy na zesłaniu, pozostanie Stalin aż do kresu swego życia wiernym i nieugiętym obrońcą własnej wersji komunizmu, która ma objąć cały świat. Wartość takiego komunizmu podlega dyskusji — natomiast związanie się z nim Stalina jest poza dyskusją.

David Dallin

EKSPEDYCJA PACZEK

ŻYWNOSCIOWYCH I ODZIEŻOWYCH DO POLSKI

I WSZYSTKICH INNYCH KRAJÓW.

"E G O"

WORLD PARCEL DISPATCH
CENTRALA: TEL-AVIV I HESS STREET

Oddziały:

Jerusalem: 199 Jaffa Road
Haifa: 48 Herzl Street

Nathanya: near Egged St.
Rehovot: Herzl Street.

LISTY PACZEK NA ŻĄDANIE.

